

#392 • LIPIEC-SIERPIEŃ 2023



INFORMATOR

GDĄŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



PIĄTA EKSPEDYCJA INDIANY JONESA

30 czerwca, w przeddzień kolegium redakcyjnego czerwcowca, wybraliśmy się z Żoną do dużej sali Filharmonii Kaszubskiej na *Indianę Jonesa i artefakt przeznaczenia*. Zaś do pisania tego wstępuziaka zasiadłem przed zapoznaniem się z recenzjami Kolegów. Nie czytałem też jeszcze żadnej „oficjalnej” recenzji w prasie czy w sieci. Oczywiście – żeby uniknąć sugestii.

Dotarli do mnie jednak przecieki, że piąty film kinowy o przygodach Indiany Jonesa nie spotkał się z życzliwością krytyków. Ich zbrojniczek prawo... Ja natomiast mam zbrojniczek prawo nie zgodzić się z nimi! Mnie się bowiem *Artefakt przeznaczenia* podobał. Postaram się to uzasadnić w kilku punktach. Po części ten wstępniak rozwija i uzupełnia też tezy z numeru lutowego.

Dla znacznie młodszych od mojego pokoleń cykl o archeologu Henrym Jonesie Juniorze jest szacownym kanonem i jednym z wielu cyklów fantastyczno-przygodowych. Dla mego pokolenia był filmowym objawieniem! Lucas i Spielberg, mimo nawiązań do tego typu klasyki kina, wnieśli film czysto przygodowy na niespotykane dotąd wyżyny: zaskakujący i precyzyjny scenariusz, szalone tempo akcji, nagłe zwroty sytuacji, efektowne i rozbudowane pościgi i mordobicia, elementy fantastyki. A do tego łobuzerski urok Harrisona Forda (który bynajmniej nie był pierwszą propozycją obsadową!). Czegoś takiego „jeszcze nie grali” – więc kolejki do kas były równie długie, jak wielka była miłość kinomanów. Pierwsza „trylogia” trzymała poziom. Ja akurat należę do entuzjastów także *Świątyni Przeznaczenia/Zagłady*. Mniej „literackiej”, ale bardziej „filmowej” (owo niewiarygodne bawienie się materia; a w sekwencji wyścigu kopalnianych wagoników – wejście w rejon osiągalne dotąd jedynie dla kreskówek). Potem *Ostatnia krucjata* – niby „powtórka” z *Zaginionej Arki*, ale wzbogacona o młodzieńczą retrospekcję oraz o Henry’ego Jonesa Seniora. Mieszanych uczuć doznałem po latach, przy części czwartej. I to nie tylko dlatego, że obaj z doktorem Jonesem wyraźnie się postarzelismy. Po prostu część „północnoamerykańska” *Kryształowej Czaszki* była w klimacie, tempie i pomysłowości „przedwojennych” filmów, lecz w części „południowoamerykańskiej” coś jednak wyraźnie „siadło”. Mam też w pamięci błyskotliwą uwagę AlBerta, że tym razem Marion powinna wyzwać na alkoholowy pojedynek jednego z pilnujących ich Sowietów – i smrotnie przegrać z Ruskim.

Cóż więc mamy w *Artefakcie przeznaczenia*? Ano: dużo i dobrze (przynajmniej moim, niekonsultowanym z nikim, zdaniem...). Jest tempo, które nie „siada”. Są naziolki. Jest fantastyczny/tytułowy artefakt. Są pościgi i mordobicia. Jest sporo humoru. Jest dużo nawiązań do poprzednich części. Jest kilka zaskoczeń, element fantastyki – i godne pożegnanie Indy’ego.

W pierwszej i trzeciej części mieliśmy artefakty związane z Biblią (acz dla widzów starozakonnych „biblijna” jest jedynie Arka Przymierza – bo przecież nie Święty Graal). W części drugiej nawiązano do zupełnie innej religii: hinduizmu. Niekonsekwencja? Może. A może – jak pisałem w recenzji nieszczęsnej (tej najnowszej) *Mumii* – można przecież uznać, że starożytni/egzotyczni bogowie to po prostu rozmaite „maski” Lucyfera? Tocząca się w latach 50. część czwarta nawiązuje do innej, rodzącej się wtedy, „mitologii” – nie „religijnej”, lecz „paranaukowej”: do UFO. Czaszka jest więc nie „metafizyczna”, lecz „fantastycznonaukowa”. Podobnie jest z artefaktem w części piątej – czyli z właściwościami wynalazku Archimedesza.

Dużo fajności tu mamy. Sekwencja wstępna, podczas II wojny światowej (notabene Indy’ego „zrobiono” lepiej niż Leię w *Łotrze I*) – znów jest „bawienie się materia” (chwilami nasuwające na myśl Keatonowskiego *Generała*); początkowa zmyłka z biblijną Włóczęgą; przypomnienie, jakimi to arcyzłodziejami dzieł sztuki byli naziści. Później zaś, w 1969 roku – nieco „alternatywna” historia, która niezbyt by się chyba spodobała von Braunowi; politycznie niepoprawny żart z niemieckiego poczucia humoru; dwukrotne podkreślenie, od czego rozpoczęła się II wojna światowa: sparafrazowane (całkiem wdzięczne) „cytaty” z poprzednich części; nawiązania do rzeczywistych wydarzeń (lądowanie na Księżycu, wojna w Wietnamie); możliwość wybiórczej podróży w czasie (z elementami klasycznej „pętli”: śmigło, zegarek).

Pretensje miałbym jedynie do tytułu (tłumaczenia?) – bo chyba *Tarcza Przeznaczenia* lub *Tarcza Archimedesza* brzmiałoby lepiej. Oraz dwie uwagi „techniczne”: na początku filmu oraz przy części właściwej nie wyświetliły się daty, zaś góra z loga wytwórni w nic się nie przekształciła.

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#392 • LIPIEC-SIERPIEŃ 2023

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Aleksandra Markowska

Wystawa Wojciecha Siudmaka – tym razem w Gdyni

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

PROZA

Andrzej Prószyński

Jak Eryk ocalił świat

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Spiel des Jahres – Top 10, sezon 4. Odcinek 17

Grzegorz Szczepaniak

Przeszłość należy do nas...

Okruchy Ogana. Korespondencja 143

Artur Łukasiewicz

Starzec udaje młodzieniaszka...

Leksykon seriali fantastycznych c.d.

Piotr Kalka

Indiana Jones lubi przygody

Karol Ginter

Recenzje Karola

Michał Bleja

Notatki z podróży

Tomasz Magulski

Nowe otwarcie kwantowe

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Adam Mateja, Grzegorz Szczepaniak

Notes Błodacza

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES:

80-395 GDAŃSK

UL. OPOLSKA 2

STRONA:

WWW.GKF.ORG.PL

KONTO BANKOWE:

VOLKSWAGEN BANK

42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

11

16

KRS: 0000098018

„INFORMATOR GKF”

ISSN 1505-8476

21

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

NAKŁAD 120

REDAKCJA:

JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

GRZEGORZ SZCZEPANIAK

MARCIN SZKLARSKI

25

MICHAŁ SZKLARSKI

35

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

29

43

STAŁA WSPÓŁPRACA:

ADAM CETNEROWSKI

32

JANUSZ PISZCZEK

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

40

TOMASZ MAGULSKI

ALEKSANDRA MAŁAJ

41

ADAM MATEJA

MARTA KARBOWSKA

47

DAMIAN FILIPKOWSKI

E-MAIL:

INFORMATOR@GKF.ORG.PL

50

OKŁADKA:

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

51

DRUK:

PRINT GROUP SP. Z O.O.

HTTP://PRINTGROUP.PL

URODZINY

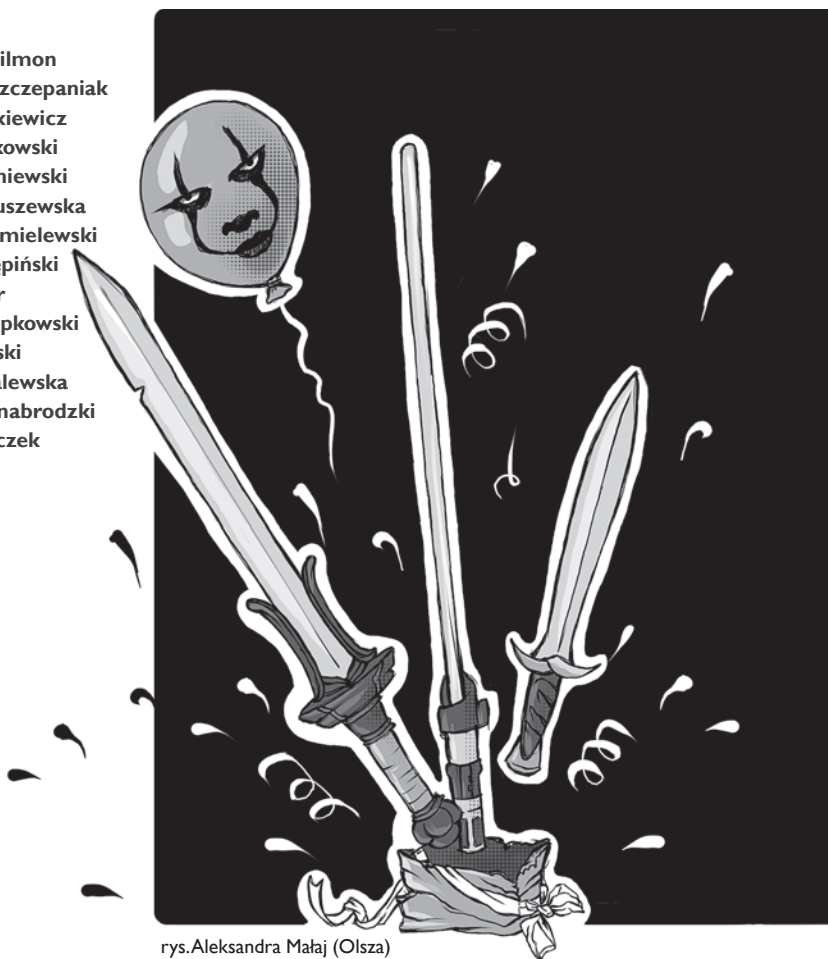
Drodzy wrześniowi Urodzeńcy!

*Życzymy Wam, żeby nie tylko zawsze wystarczało Wam na chleb,
ale byście nie dostawali tak koszmarnych prezentów, jak Indiana Jones
– no, niech przynajmniej będzie miecz z czasów Conana Barbarzyńcy,
albo jakaś inna atrakcja z 1001 fantastycznych drobiazgów!*

INFOredaktorzy

WRZESIEŃ

- 3 **Andrzej Chilmon**
- 12 **Grzegorz Szczepaniak**
- 13 **Rafał Ziemkiewicz**
- 14 **Adam Ziółkowski**
- 16 **Robert Bujniewski**
- Anna Martuszevska**
- 17 **Damian Chmielewski**
- Tomasz Stępiński**
- 21 **Jakub Olfier**
- 27 **Damian Filipkowski**
- Rober Jaliński**
- 28 **Kinga Kowalewska**
- 29 **Mariusz Kanabrodzki**
- Janusz Piszczek**



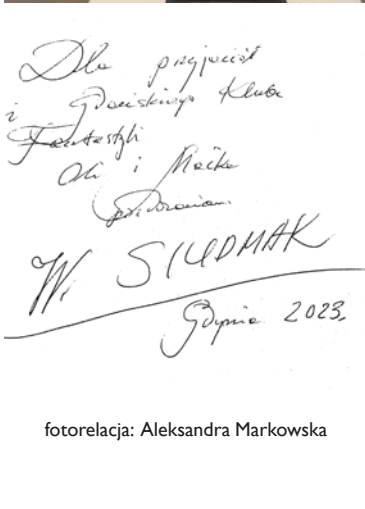
rys. Aleksandra Małaj (Olsza)



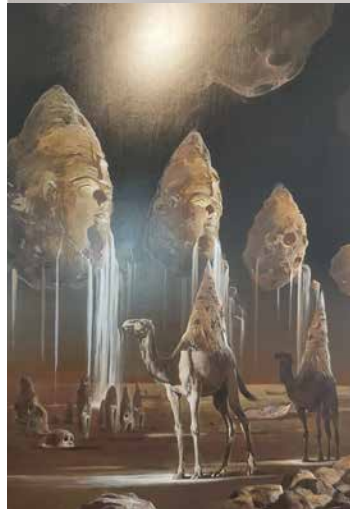
ALEKSANDRA MARKOWSKA

WYSTAWA WOJCIECHA SIUDMAKA – TYM RAZEM W GDYNI

29 lipca, w gdyńskiej galerii ToTuart, odbył się wernisaż wystawy Wojciecha Siudmaka. Artysta, od lat mieszkający w Paryżu, ponownie przybył do Trójmiasta, aby pokazać nową rzeźbę swojego autorstwa: *A la poursuite des sons* (W poszukiwaniu dźwięków). Na wystawie można było również obejrzeć wcześniej nie prezentowane nigdzie obrazy artysty. Skromnej delegacji GKF -u miło było spotkać się ponownie z Panem Wojciechem – od niedawna członkiem honorowym Gdańskiego Klubu Fantastyki – i wspominać niedawną wystawę jego prac w Muzeum Gdańska, przy której również GKF miał swój udział. Wystawa w galerii ToTuart była czynna jedynie do 13 sierpnia; ale mamy nadzieję, że to nie ostatnia wizyta twórcy w Trójmieście ■



fotorelacja: Aleksandra Markowska





ADAM „CETI” CETNEROWSKI

SPIEL DES JAHRES – TOP 10, SEZON 4

ODC. 17 KINGDOM BUILDER (KRÓLESTWO W BUDOWIE)

Kingdom Builder

Autor: Donald X. Vaccarino

Rok wydania: 2012

Liczba graczy: 2-4

Czas gry: 45 minut

Ranking BGG*: 650

Rok nagrody: 2012

2011 – Qwirkle – skrzyżowanie domina i Scrabble (to już ostatnia nagrodzona gra, w którą nie grałem)

Nie minęło kilka lat – i druga gra pana Vaccarino zdobywa najbardziej pożądaną nagrodę w świecie gier planszowych. Tym razem tytuł jest mniej rewolucyjny (ale *Dominion* trudno przebić) i nie zdobył takiego poklasku (choć do dzisiaj cieszy się pewną popularnością).

Ta gra to naprawdę abstrakcyjna* pozycja lekko udająca grę o budowaniu osad. Plansza jest podzielona na pola z różnego rodzaju terenem – pola, łąki, lasy, góry, rzeki, itp. W swojej turze dociągamy jedną (!) kartę z terenem i wystawiamy trzy domki na polach z tym terenem. Domki muszą sąsiadować z innymi naszymi domkami, o ile jest to możliwe.

Na planszy znajdziemy też miasta (dające punkty) oraz specjalne budowle. Jeżeli postawimy domek przy takiej budowlu, zyskujemy do końca gry związaną z nią specjalną zdolność – na przykład możliwość postawienia czwartego domku lub przestawiania istniejących domków.

W każdej grze dobiera się trzy karty, które ustalają zasady/punkty. Przykładowo karta 'Rybacki' daje nam jeden punkt za każdy domek przylegający do wody. Inne karty mogą chcieć, abyśmy zbudowali największą osadę (skupisko domków), albo najwięcej osad (niepołączone zbiory domków).

Gra kończy się, gdy jednemu z graczy skończą się domki. Następuje punktacja – i zwycięzca zostaje wyłoniony.

Trzeba przyznać, że swego czasu gra wzbudziła spore kontrowersje, bo według niektórych pozbawiała gracza jakiegokolwiek decyzyjności. Dociągamy kartę – i stawiamy domki na tym, co na niej figuruje. Tu jednak wchodzi cały smaczek gry: trzeba swoje domki stawiać w takich miejscach, aby przy kolejnej turze mieć możliwość wyboru,



gdzie postawimy kolejne. Do tego trzeba podjąć decyzje, o które punkty się walczy i które budynki pomogą nam zrealizować strategię.

Na koniec warto wspomnieć o dużej regrywalności* tego tytułu. Planszę do każdej rozgrywki buduje się losując cztery mniejsze plansze (z kilku dostępnych). Dodatkowo tylko trzy z kilkunastu warunków punktacji będą nas obowiązywać. Każda rozgrywka będzie więc inna. A do tego możemy dokupić kilka dodatków* wprowadzających dalsze urozmaicenia.



Moja opinia

Gdy gra się ukazała na rynku, to w nią zagrałem, wzruszyłem ramionami i poszedłem robić coś innego. Wróciłem do tej gry parę lat temu – i znacząco podniosłem swoją opinię o niej. Jest w tej grze pewna elegancja, płynność tur i krótki czas rozgrywki. Rzeczy, które w ostatnim czasie doceniam.

Nie jest to może pozycja, o której stale myślę; ale jeżeli mam wolną godzinę na spotkaniu planszówkowym – to chętnie po nią sięgnę ■

Słowniczek:

Abstrakcyjna gra strategiczna (Abstract game) – gra niekorzystająca z silnej tematyki, często pozbawiona elementów szczęścia i niejawnych informacji, na ogół przeznaczona dla dwóch graczy. Przykłady: szachy, go.

BGG – BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o grach planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych

przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Dodatek (rozszerzenie, ang. *expansion*) – dodatkowe elementy do gry kupowane w osobnym zestawie. W wersji minimalistycznej są to nowe karty lub żetony. W wersjach rozbudowanych zawierają całe pudełko nowych elementów oraz sporo zmian w zasadach. Szczególnym przypadkiem są tzw. Standalone Expansion (samostanowione), które można używać jako oddzielną grę lub połączyć z poprzednią częścią.

Regrywalność – (subiektywna) cecha gry określająca, ile razy można zagrać w grę nim się znudzi/wyczerpie. Regrywalność może wynikać z dostępności różnych scenariuszy/misji/przygód, obecności różnych dróg do zwycięstwa, losowości w grze (np. losowa plansza), interaktywności.

źródło: boardgamegeek.com



JANUSZ PISZCZEK

ZAPOWIEDZI WRZEŚNIA

Lodowa Korona (The Frozen Crown) – Greta Kelly

Data wydania: 5 września 2023

Wydawca: Rebis

Ciemny las (黑暗森林) – Liu Cixin

Data wydania: 5 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Holly (Holly) – Stephen King

Data wydania: 5 września 2023

Wydawca: Prószyński

Plon – Grzegorz Kopiec

Data wydania: 5 września 2023

Wydawca: Replika

Szpital Filomeny (The House at**Phantom Park) – Graham Masterton**

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: Albatros

Opiekunowie (Watchers) – Dean Koontz

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: Albatros

Aurora: Przebudzenie (Aurora**Rising) – Amie Kaufman, Jay Kristoff**

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: MAG

Nieśmiertelne pragnienia (Immortal Longings) – Chloe Gong

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: MAG

Córki tamtych wiedźm – Weronika Łodyga

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: Young

Poskrom mnie (Defy Me) – Tahereh Mafi

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: We need YA

Szklany tron (Throne of Glass) – Sarah J. Maas

Data wydania: 6 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Uroboros

Złodziejski gambit (Thieves' Gambit) – Kayvion Lewis

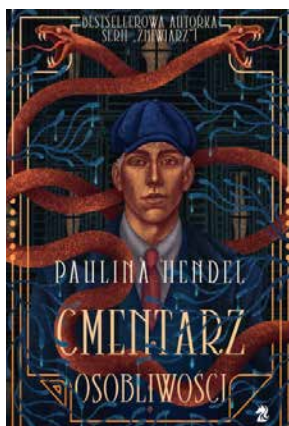
Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: Jaguar

Cmentarz osobliwości – Paulina Hendel

Data wydania: 6 września 2023

Wydawca: We need YA



Cień Kitsune (Shadow of the Fox) – Julie Kagawa

Data wydania: 8 września 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Zgroza w Dunwich. Album (Horror in Dunwich) – H.P. Lovecraft, François Berenger

Data wydania: 11 września 2023

Wydawca: Vesper

Akolich Cthulhu (Acolytes of Cthulhu) – Antologia

Data wydania: 11 września 2023

Wydawca: Vesper

Ucieczka – Sewer Gansowski

Data wydania: 12 września 2023

Wydawca: Stalker Books

Śmiech diabła – Agnieszka Miela

Data wydania: 12 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Zysk

Wielkie polowanie (The Great Hunt) – Robert Jordan

Data wydania: 12 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Zysk

Rozbójnicy Skaith (The Reavers of Skaith) – Leigh Brackett

Data wydania: 15 września 2023

Wydawca: Stalker Books

Wyprawa do zaginionego miasta (Quest for the Hidden City) – George Mann

Data wydania: 16 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Droga królów (The Way of Kings) – Brandon Sanderson

Data wydania: 16 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Rocznik fantastyczny 2023 Almanach

Data wydania: 20 września 2023

Wydawca: Gniazdo Światów

Upiory XX wieku (20th Century Ghosts) – Joe Hill

Data wydania: 20 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Wampirzyca i Wiedźma (The Witch and the Vampire) – Francesca Flores

Data wydania: 21 września 2023

Wydawca: Prószyński

Parias (The Pariah) – Anthony Ryan

Data wydania: 22 września 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Puchar bogów (The chalice of the Gods) – Rick Riordan

Data wydania: 26 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Galeria Książki

Biada Babilonowi (Alas, Babilon) – Pat Frank

Data wydania: 26 września 2023

Wydawca: Rebis

Dziedzic Kaladanu (The Heir of Caladan) – Brian Herbert & Kevin J. Anderson

Data wydania: 26 września 2023

Wydawca: Rebis

Cesarstwo cienia – Malwina Kubiczek

Data wydania: 26 września 2023

Wydawca: Prószyński

Spellmaker (Spellmaker) – Charlie N. Holmberg

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: Harde

Fourth Wing. Czwarte Skrzydło (Fourth Wing) – Rebecca Yarros

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: Fila

Dziwna i uparta wytrwałość (A Strange and Stubborn Enurance) – Foz Meadows

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: SeeYA

Dziedzictwo Jadeitu (Jade Legacy) – Fonda Lee

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: MAG

Mroczna kołysanka (Dark Lulabay) – Polly Ho-Yen

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: Insignis

Cień Sithów (Shadow of The Sith) –**Adam Christopher**

Data wydania: 27 września 2023

Wydawca: Olesiejuk

Folwark zwierzęcy (Animal Farm) –**George Orwell**

Data wydania: 27 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Świat Książki

Wyjęci spod prawa (The Outlaws) –**Jonathan Stroud**

Data wydania: 28 września 2023

Wydawca: Poradnia K

Gregor i kłątwa stałocięplnych (Gregor and the Course of warmbloods) –**Suzanne Collins**

Data wydania: 28 września 2023 (wznowienie)

Wydawca: Poradnia K

Świat szkła (Glass World) – B.V. Larson

Data wydania: 28 września 2023

Wydawca: Drageus

W cieniu błyskawic (In the Shadow of Lightning) – Brian McClellan

Data wydania: 29 września 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Epoka Wojny (Age of War) – Michael J. Sullivan

Data wydania: 29 września 2023

Wydawca: MAG

Dawno temu blask (A Brightness Long Ago) – Guy Gavriel Kay

Data wydania: 30 września 2023

Wydawca: Zysk i S-ka

Noc noży (Night of Knives) – Ian**C.Esslemont**

Data wydania: wrzesień 2023 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Rama II (Rama II) – Arthur C. Clarke & Gentry Lee

Data wydania: wrzesień 2023 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Tarnowskie Góry niesamowite – Antologia

Data wydania: wrzesień 2023

Wydawca: Almaz

Ślepowidzenie (Blindsight) – Peter Watts

Data wydania: wrzesień 2023

Wznowienie w 2 wersjach okładowych (Uczta Wyobraźni i poza serią)

Wydawca: MAG

Smoki i demony (Dragons and Demons) – Kel Kade

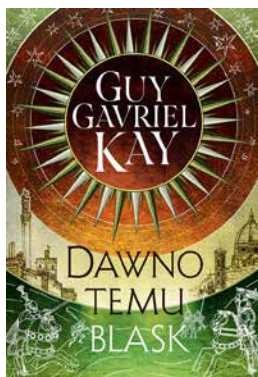
Data wydania: wrzesień 2023

Wydawca: Fabryka Słów

J.R.R. Tolkien. Biografia (J.R.R. Tolkien. A Biography) – Humprey Carpenter

Data wydania: wrzesień 2023

Wydawca: Zysk



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Co by tu powiedzieć, żeby nie skłamać i prawdy nie powiedzieć... Chociaż wakacje – to jakaś taka posucha. Bo, mimo kilku wyraźnych perełek, cienizną piszczy. A po zobaczeniu paru pozycji, można dojść do wniosku, że nawet nowy Pan Samochodzik wydaje się jakiś taki całkiem niezły. Ale o netflixowym Samochodziku porozmawiamy za miesiąc. Tymczasem zapraszam na filmy i seriale.

SIERPIEŃ

- 2 sierpnia

Operacja: Soulcatcher / film / Netflix

Wynaleziono urządzenie pod wymowną nazwą „Soulcatcher”, które miało leczyć raka, a zamienia ludzi we wściekłe, żądne mordy bestie. Należy więc wysłać ekipę, odbić ów przedmiot i jego wynalazcę z rąk szajki terrorystów – działających w dodatku w nieprzyjawnym kraju. Produkt filmopodobny kategorii już nie alfabetycznej, a bliskiej facepalmu. Do konsumpcji przy pewnym znieczuleniu koromóżgowym. Przykre, bo dzieło jest nasze, polskie. OSTRZEŻENIE NAWIGACYJNE!

- 3 sierpnia

Zom 100:100 rzeczy do zrobienia, zanim zostanę zombie / film / Netflix

Sfrustrowany pracownik wielkiego korpo dopiero w obliczu szaleńczej inwazji zombie może tak naprawdę ukazać swoje dzielne i skrywane głęboko oblicze. Dla wszystkich kochających japońskie komedio-horror o nieco zwichrowanym obliczu. Nawiasem mówiąc: to i tak nieco lepsze od chociażby takiego filmu o gościu, który zakładał majtki damskie na głowę i uśmiercał przeciwników – męskim członkiem.

- 4 sierpnia

Meg 2: Głębia / kino

Megagłupotki sprzed paru lat ciąg dalszy. Jak zwykle: zamiast zasypać szczelinę rowu – ktoś tam znowu kopie, ktoś tam znowu knuje. Tym razem mamy oczywiście więcej, bo aż trzy megalodony, jednego krakena i rój jaszczurek. Ale nasz dzielny Janson Statham nie z takich opresji wychodził, więc wszystko kończy się dobrze; ale nie na tyle, by nie można było znowu za jakiś czas zacząć od nowa. Oby – nie!

Wojownicze żółwie ninja: Zmutowany chaos / kino

Reboot historii o żółwiach mieszkających w kanałach i ich opiece. Tym razem jednak bez odnośników do lat 80. i 90. Żółwie chcą się wyrwać ze świata podziemi i żyć jak prawdziwe ludzkie nastolatki. Ogólnie przyjemna historia dla młodzieży. Trochę jednak przyjemność z oglądania psuje przymusowy dubbing. Dlatego moim zdaniem warto poczekać na stream i możliwość wyboru ścieżki dźwiękowej.

- 8 sierpnia

Zombiverse / sezon 1 / Netflix

Festiwal zombie ciąg dalszy. Tym razem jesteśmy w Korei, gdzie walczyć o przetrwanie musi grupa nastolatów. Jak zwykle obrzydliwe – ale niepozabawione dawki humoru. Coś akurat na lekką rozrywkę; pod warunkiem, że ma się zdrowy żołądek oraz kilka paczek chipsów i krata (bezalkoholowego!!!) piwa. Łatwo wchodzi i szybko się wydala.

The Seven Deadly Sins: Grudge of Edinburgh / część 2 / film / Netflix

Nie pamiętam już, czy o tym pisałem, ale to – jak sprawdziłem – kolejny spin-off tej historii. Nie mam pojęcia, czy dobry czy nie, bo poprzednich części nie widziałem, zaś anime jako takie nieszczerólnie mnie kręci. Wojownicy, bestie, demony i tak dalej.

Nieobca planeta / sezon 1 / Apple tv

Zabawne, ale w rzeczywistości to o nas samych. Wnikliwe spojrzenie w ludzką duszę ubrane w kostium mieszkańców odległej planety. Ich problemy czy uczucia są całkiem jak nasze. W dodatku dość ciekawa animacja. Taki delikatny stempel PREMIERA MIESIĄCA.

- 10 sierpnia

Czy poślubisz moje zwłoki? / film / Netflix

Tajwański film o policjancie, który poprzez dotknięcie zdjęcia „poślubia” zwłoki (w dodatku męzczyzny) – i wraz z nim musi rozwiązać zagadkę kryminalną. Film z literkami, kryminał i fantastyka w jednym. No, nie wiem...

Robokadeci / sezon 1 / Netflix

Wojna. Nieprzygotowany woźny okazuje się być wybrańcem spadającej z nieba broni – robomechów; a napastnicy wracają. Bardziej dla tych, co to się robomechami fascynują; bo nie dla mnie.

- 11 sierpnia

Demeter: Przebudzenie zła / kino

Statek „Demeter” przybija do portu w Transylwanii, na jego pokład trafia dość tajemniczy pakunek. Zanim jednak statek zawinie do Londynu – wydarzy się jeszcze wiele „dziwnych rzeczy”. To taki rozbudowany fragment podróży Dracula z Transylwanii do Londynu. W gruncie rzeczy jatka, trochę horroru i nic ciekawego.

- 12 sierpnia

Namacalne dowody / sezon 1 / Netflix

Jasnowidząca pani weterynarz i miejscowy policjant wspólnie na tropie seryjnego mordercy grasującego w okolicy ich zamieszkania. Jedyny element fantastyczny to owa umiejętność „jasnowidzenia”. Dla sympatyków dzieł z Korei.

- 15 sierpnia

Babylon 5: The Road Home / no, dobra to na razie w USA – ale miejmy nadzieję, że HBO MAX się skupi i zamieści (z całym serialem z resztą, bo straszną mam ochotę zobaczyć go ponownie). Wyjaśniający, zapewne nie do końca, wątki – film animowany z czasów (jak mogę mniemać) tuż przed piątym sezonem serialu. Kolejne spotkanie z rodziną Zatraków oraz podróż w czasie

i przestrzeni. Prezydent Sheridan musi do końca poznać swoje przeznaczenie, zrozumieć przeszłość i własną przyszłość. Problem w tym, że TVN, która miała prawa do tego serialu, zrobił wszystko, by ten arcyciekawy materiał zożydzić i uczynić go filmidłem dla dzieci – dlatego obawiam się, że możemy nie doczekać emisji tego filmu. Z prostej racji, że ktoś pomyśli, iż to się nie sprzeda.

- 16 sierpnia

Jodie – wybraniec / sezon 1 / Netflix

Jodie, dwunastolatek z pogranicza USA i Meksyku, posiada moce, które przypominają te, które przypisane były dotychczas jedynie... Jezusowi Chrystusowi.

- 18 sierpnia

Blue Beetle / film / kino

W poprzednim numerze wspomniałem, że DC nie umie w te klocki - a to dzieło niestety to potwierdza. Kiedy to piszę, jestem już po seansie. Takie sobie coś, sklecone ze stereotypów i pomieszane z wszystkim, co znamy zarówno ze świata DC, jak i Marvela. Tu kawałek Batmana, tu trochę Venoma, tu Spider-Man, tu Shazam. W sumie nic oryginalnego.

Mów do mnie! / kino

No cóż, średnich lotów horror o tajemniczej, posiadającej niesamowite moce ręce, której dotknięcie powoduje mroczny odlot. A że jesteśmy na hucznej, zakrapianej imprezie – rączka co rusz dostaje pożywki i zaczyna mieszać wśród rozbawionej gawiedzi. Taki trochę pasto slasher. Dla wyznawców.

UFO / kino

Nastoletnia rebeliantka umieszczona w rodzinie zastępczej podejrzewa, że jej ojciec nie umarł, ale został porwany przez UFO. Z pomocą stowarzyszenia UFO robi wszystko, by poznać prawdę. Razem wyruszają na ryzykowną przygodę, która zabiera ich daleko poza granice prawa, do świata pełnego wypraw UFO, spisków i niewytłumaczalnych zjawisk. Może być ciekawe. Niech będzie PREMIERA MIESIĄCA.

Wędrująca Ziemia 2 / kino

Prequel (a może raczej rozszerzenie opowieści z części pierwszej) opowiadający o początkach wybicia naszej planety z orbity i wysłaniu jej w okolice Alfa Centauri. Wszystko tu jest: ruchy planetarne, windy do nieba, szalone konstrukcje oraz sztuczna inteligencja – która chyba ma złe zamiary. Brakuje tu tylko psa. A może i on jest? Nie widziałem części pierwszej, choć jest bodajże na Netfliksie, więc nie wiem, czy zaliczę numer dwa; ale po takim zaawansowaniu technicznym (i to za kilkadziesiąt lat) aż się wierzyć nie chce, jak bardzo musi to być spektakularne i bzdurne. Emmerich do szczęścianu?

- 23 sierpnia

Ashoka / sezon 1 / Disney +

No i mamy kolejny poziom dojenia franczyzy. Ale Ashokę podobno wszyscy lubią. Zwiastun też daje nadzieję na coś fajnego. Na razie na półkę, zanim nie nadrobię poprzednich dzieł.

Inwazja / sezon 2 / Apple TV+

Troszkę dziwny – bo z perspektywy zwyczajnych ludzi, a nie głównodowodzących. Inwazja obcych na Ziemię. Impreza się rozkręca. Ludzie zaczynają stawiać opór, a nawet zostaje nawiązana próba kontaktu (co pokaże drugi sezon). Ja lubię serie Apple TV, bo są na poziomie. Nawet jeśli są złe – to i tak są lepsze niż netflixiowe. Będę się uważnie przyglądał.

- 24 sierpnia

Ragnarok / sezon 3 / Netflix

W małym miasteczku w Szwecji współczesne wersje nordyckich bogów kontynuują wojnę o panowanie nad światem. Czas na finał. Ostatni sezon serialu.

- 31 sierpnia

One Piece / sezon 1 / Netflix

Chłopiec chcący zostać królem piratów, jego dziwna załoga, fantastyczny okręt, piraci, potwory, legendy morza, a w tle oczywiście wielki skarb. Aktorska wersja japońskiej (mało popularnej w Polsce) mangi o piratach – ale na szczęście nie zrobiona po japońsku. Przynajmniej tak wygląda zwiastun.

WRZESIEŃ

- 1 września

Koło czasu / sezon 2 / Prime Video

Mea Culpa – ten serial i jego premierę drugiego sezonu już kiedyś dawno zapowiadałem a on się nam objawi dopiero 1 września, czyli i tak, zanim ten numer do was dotrze. Puryści będą kręcić nosem i twierdzić, jakie to złe jest. Ale mnie się ten serial się podobał i mam nadzieję, że utrzyma poziom i z przyjemnością zobaczę kolejne odcinki.

Rozczarowani / sezon 5 / Netflix

Ja po pierwszych zachwytach i drugim no do połowy trzecim sezonie – cóż, rozczarowany jestem. Simpsonów i Futuramę widziałem, ale tu mi jakoś nie wchodzi. Trudno – pewnie nie jestem targetem, czyli jak zwykle w serialach dla dorosłych, góra dwudziestoletnim geekiem ze zwichrowanym poczuciem humoru.

- 6 września

Ja jestem Groot / sezon 2 / Disney +

Ja też będę Groot – pod warunkiem, że odcinki będą dłuższe niż dwuminutowe miniatury. Niekiedy nawet zabawne; ale w gruncie rzeczy to nijakie jest.

- 8 września

Odmieniec / sezon 1 / Apple TV+

Horrorowa baśń o rodzicielstwie i niebezpieczna odyseja przez nieznaną dotąd Nowy Jork. Albo inaczej: Apollo (LaKeith Stanfield) i Emma (Clark Backo) przeżywają idealną historię miłosną. Ich sielanek przerywa nagle zniknięcie Emmy. Apollo musi stawić czoła śmiertelnej

odysei na terenie Nowego Jorku. Kurcze zwiastun intryguje, ale zupełnie nie wiem, czemu to mam oglądać? Lubię tylko dlatego, że Apple TV robi rzeczy dobre.

Fantastyczny Matt Pary / kino

Wreszcie jest dokument o gigancie pieszczotliwie zwanym „Parówkarzem”. Redaktor Maciej Parowski – guru polskiej literackiej fantastyki, człowiek kilku fal i generacji, zwany też Honeckerem Fantastyki – w życiu, we wspomnieniach, w świecie „Fantastyki”. Prywatnie – wielki człowiek, znany mi zresztą osobiście. **PREMIERA MIESIĄCA i TO TRZEBA ZOBACZYĆ!**

Zakonnica II / kino

Kontynuacja serii prequela do jakiejś tam serii. Nie wnika. Znajdzie wyznawców, bo to dla nich film.

28 września

Castlevania: Nocturne / sezon 1 / Netflix

Castlevania: Nocturne to nadchodzący amerykański serial animowany dla dorosłych z gatunku dark fantasy. Spin-off serialu animowanego *Castlevania*. Akcja rozgrywa się w 1792 roku, podczas Rewolucji Francuskiej i podąża za Richterem Belmontem, potomkiem rodziny Belmontów. Nie wiem, nie znam się, będę oglądał co innego...

29 września

Gen V / sezon 1 / Amazon Prime

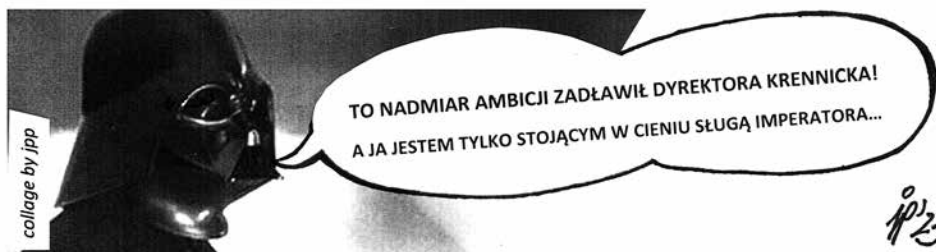
Spin-off ukochanych *The Boys*. Opowieść o skażonych Substancją V i wykazujących super-moce. Ale zanim założą fikuśne rajtuzy – muszą trenować, przyzwyczajać się do świata blichtru, a także nauczyć się pokonywać własne ograniczenia. Robią to w Akademii Młodych Superbohaterów – w miejscu, w którym nie wszystko jest takie, jak być powinno (z racji tego, że to ma związek z *The Boys*). **PREMIERA MIESIĄCA.**

PIŁA X / kino

To już dziesiąty film? Jak ten czas leci... Nadal nie oglądam!

Twórca / kino

Podczas wojny toczącej się pomiędzy ludźmi a siłami sztucznej inteligencji – Joshua (były agent służb specjalnych, którego żona zaginęła w niejasnych okolicznościach) zostaje zrekrutowany do wytropienia i zlikwidowania nieuchwytnego architekta zaawansowanej technologii. Jego dziełem jest wszechpotężna broń – będąca zarazem wyzwolicielem robotów. A wszystko to w postaci małej, zagubionej dziewczynki... Zajawka wygląda fajnie. Zastanowię się.



rys. Jan Plata-Przechlewski

TOLKIEN – UCZCZONY UCZONY (A TAKŻE POETA I PISARZ)

Z okazji wstąpienia na tron Karola III brytyjska królewska mennica przygotowała specjalny zestaw monet, w skład którego weszła także dwufuntówka z monogramem Tolkiena na rewersie. Dodajmy, że we wrześniu tego roku mija pół wieku od śmierci tego największego pisarza XX wieku, cenionego również jako poeta i uczony.

grzeszcz



SAPEK ZAPOWIEDZIAŁ NOWEGO WIEDZMINA

Andrzej Sapkowski poinformował, że w trybie pilnym zamierza ukończyć kolejną spin-offową powieść o Wiedźminie. Premiery mamy się spodziewać w przyszłym roku.

wg: katedra.nast.pl

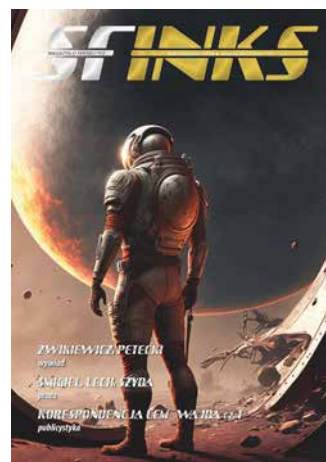
OMNIFAGUS ZNÓW PRZESUNIĘTY

Zbiór opowiadań, znanego z łamów giekaefowskich publikatorów oraz bywalca Nordconów Rafała Nawrockiego, pt. *Omnifagus* po raz kolejny spadł z listy zapowiedzi Wydawnictwa Vesper. Oczekujących na premierę zapraszamy do lektury pochodzącego z tego tomu opowiadania *Spleśniła noga Klary Mundek*, które znajdziecie w 27 numerze „Czerwonego Karła”. Oryginalne ilustracje do tego tekstu stworzył Jarosław YARKOS Kosiorek.

grzeszcz

„SFINKS” 72

Wiosenny numer magazynu Wojtki Sedeńki przyniósł dwa wywiady Marka Żelkowskiego i pierwszą część jego kolejnego cyklu artykułów o odkrywaniu obcych w starożytności. Główną atrakcją tego numeru jest na pewno premierowy artykuł Wiktora Jaźniewicza opowiadający o niedoszłych adaptacjach prozy Lema (tu o *Kongresie futurologicznym*). Artur Nowakowski



uraczył nas opracowaniem nt. serii „Fantastyka – Przyszłość – Rozrywka” KAW (czyli popularnej „serii z glistą”), natomiast Leszek Błaszkievicz kontynuuje przegląd energetycznych zjawisk występujących we wszechświecie. W cyklu Pawła Laudańskiego o tym, jak wydawano fantastykę w ZSRS, natknąłem się na tytuł powieści Jewgienija Wielistowa *Elietronik – mał’czik iz czietnodana*, który mnie nomen omen zelektryzował. Pisałem kilka lat temu w „Czerwonym Karle” o radzieckim serialu sf dla dzieci i młodzieży *Elektronik* o androidalnym klonie prawdziwego chłopca – i ciekaw jestem, czy ta koincydencja nie jest przypadkowa (nie mogę tylko skojarzyć, czy była w tym filmie jakaś walizka; walizkę kojarzę natomiast z czechosłowackiego serialu *Dziewczyna z kosmosu*). Z rozczarowań – zabrakło w tym numerze felietonu Marka Oramusa (co gorsza: link do jego blogu zniknął też ze strony Sedeńki), a także kolejnego artykułu

poświęconego muzyce i fantastyce. Pomimo tego uważam, że to nadal bardzo dobry magazyn i że jego lektura wzbogaca każdego czytelnika.

grzeszcz

PÓŁ WIEKU PO SWEJ NASŁYNNIEJSZEJ PREMIERZE

7 sierpnia, w wieku 87 lat, zmarł William Friedkin – amerykański reżyser filmowy. Jego najbardziej znanymi filmami były: horror *Egzorcysta*, kryminał *Francuski łącznik* oraz remake sensacyjnej *Ceny strachu* [oryg. *Sorcerer* z muzyką Tangerine Dream – dop. GS].

jpp

SŁYNNNA LALKA ZDYSTANSOWAŁA SŁYNNNEGO ARCHEOLOGA

Kinowa *Barbie* (z Margot Robbie i Ryanem Goslingiem) zaliczyła w Polsce wakacyjny rekord otwarcia. Również w USA i w innych krajach jest frekwencyjnym hitem. Poza tym to pierwszy film wyreżyserowany przez kobietę, który przekroczył zarobek miliarda dolarów.

jpp



TWÓRCA BOMBY ATOMOWEJ BRYLOWAŁ W KINACH

Doskonale wyniki frekwencyjne odnotował też *Oppenheimer* Christophera Nolana z Cillianem Murphys w roli tytułowej. A tak na marginesie: czy kiedyś doczekamy się również filmu *Teller* – o ojcu bomby wodorowej?

jpp

NAUKOWIEC I BLONDYKA

Redakcja „Informatora”, w większości składająca z dziadków pamiętających komunę, za wakacyjne wydarzenie kinowe uznała piątą część *Indiany Jonesa*. Jednak największymi kasowymi hitami tego lata okazały się (znakomite zresztą w swoich konwencjach!) filmy Gerwiga oraz Nolana. Mówi się już nawet o fenomenie nazywanym *Barbenheimer*.

red.

6. OCTOPUS FILM FESTIWAL

Od 8 do 13 sierpnia odbywał się kolejny festiwal kina gatunkowego. Zarówno filmy wybitne, jak i te klasy B, wyświetlane były na terenach postocznionych, ale również w innych, odpowiednio dobranych, miejscach Gdańska (np. obchodzącego 50-lecie *Egzorcystę* Williama Friedkina zaprezentowano w gotyckim wnętrzu kościoła Św. Jana). Po raz pierwszy, w paśmie *Octopus Shorts*, zaprezentowano najciekawsze gatunkowe krótkometrażówki z różnych krajów. Nowościami były też filmy o deskorolkarzach (*Skate or die!*) i o sztucznej inteligencji (*Cykl Turinga*). Specjalnym hołdem był pokaz horroru Williama Castle'a *Dom na przeklętym wzgórzu*. To zresztą nie wszystkie atrakcje szóstego Octopus Film Festiwalu.

wg: gazeta.pl



DRUGI Z ARCYMISTRZÓW JESZCZE DO OBEJRZENIA!

Muzeum Gdańska pożegnało się już z – i tak przedłużoną do połowy sierpnia – wystawą dzieł Wojciecha Siudmaka w Ratuszu Głównego Miasta. Natomiast do 1 października jeszcze trwa w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim wystawa prac Zdzisława Beksińskiego – zorganizowana przez sanockie Muzeum Historyczne oraz warszawskie Muzeum Sztuki Fantastycznej i galerię Beks.pl również ze stolicy.

jpp

GŁÓWNIENIE Z FRANCJI, SZWAJCARII I BELGII

W łęnickim Muzeum Miedzi – a konkretnie w jego oddziale: Akademii Rycerskiej – przez całą wakację trwała wystawa kolektywu artystycznego Art'PAIRinternational. Grupa ta tworzy prace w konwencji magicznego realizmu.

wg: gazeta.pl

W KONGRESIE O KOSMITACH

26 lipca w Kongresie USA odbyło się posiedzenie komisji nadzoru i odpowiedzialności Izby Reprezentantów, w czasie którego trzech byłych wojskowych odpowiadało na pytania dotyczące niezidentyfikowanych obiektów latających, czyli UFO – a raczej UAP (*unexplained aerial phenomenon* – niewyjaśnione zjawisko występujące w powietrzu). Kongresmani pytali między innymi o to, czy przesłuchiwanie wojskowi osobiście widzieli pojazdy lub ciała obcych oraz czy UFO może być zdolne do rozbrojenia technologii wykrywania w samolotach używanych przez wojsko.

wg: tvn24.pl



OBY WSZYSTKO IM SIĘ TAK ROZLECIAŁO!

Trwa nowy wyścig na Srebrny Glob. Głównie w wykonaniu jednego nieustającego mocarstwa oraz jednego byłego mocarstwa i jednego wschodzącego mocarstwa. W drugiej połowie sierpnia, podczas nieomal bezpośredniego wyścigu rosyjsko-chińskiego, wystrzelona przez Rosjan sonda (pierwsza od prawie 50 lat rosyjska misja księżycowa!) roztrzaskała się – dokładnie 19 sierpnia – o powierzchnię Księżyca. Łuna 25, która wystartowała 10 sierpnia, miała wylądować na południowym biegunie Księżyca ok. 21–22 sierpnia. Gdy, jeszcze przed amerykańskim sukcesem misji Apollo, udało się miękkie lądowanie sondy Łuna 9 – krążył po PRL-u dowcip, że wylądowała ona na g... Twardowskiego. Widać tym razem krakowski mistrz nie okazał się tak życzliwy; współczesni złośliwi twierdzą zaś, że na częściach ze skradzionych na Ukrainie pralek i lodówek nie da się daleko zalecieć...



jp i jpp

KOLEJNY KSIĘŻYCOWY GRACZ

Indyjska sonda Chandrayaan-3 wylądowała na Księżycu. Nastąpiło to 23 sierpnia w rejonie bieguna południowego (w którego zacienionych kraterach można spodziewać się pokładów ładu). A nieudanych misji księżycowych było ostatnio sporo... W 2019 r. nie powiodła się poprzednia indyjska próba sondy Chandrayaan-2; w tymże roku rozbił się izraelski lądownik Beresheet. W bieżącym roku nie udało się japońska próba z lądownikiem Hakuto R oraz nastąpiła niedawna katastrofa rosyjska. Do tej pory skutecznie lądowały na Księżycu misje ZSRR, USA i ChRL.



wg: rf24.pl

ZWYCIĘZCY SPIEL DES JAHRES

Nagroda Roku: *Dorfromantik* – planszowa implementacja popularnej gry komputerowej; Zaawansowana Gra Roku: *Challengers! Drużyna marzeń* – omówiona w niusie niżej (już w jest Klubie!); Dziecięca Gra Roku: *Mysterium Kids* – dziecięca wersja popularnej gry.

Ceti

NOWOŚCI W BIBLIOTECE GIER



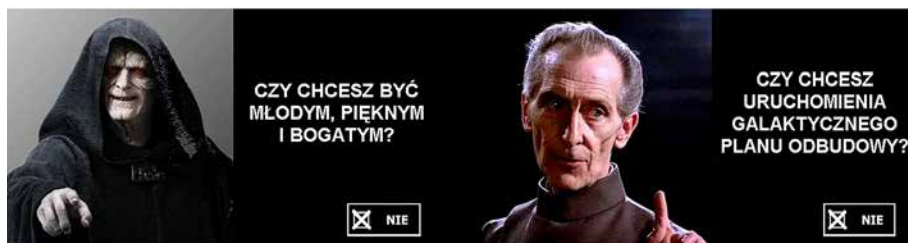
W samą porę, na pierwsze letnie Planszówkarium, pojawiły się nowe gry: *Turbo* – jedna z najlepszych gier 2022 roku; emocjonujące wyścigi samochodowe nagradzające dobre zarządzanie możliwościami silnika naszego bolidu i podejmowanie ryzyka we właściwych momentach. *Papierowe Morze* – sprytna gra karciana wymagająca dobierania kart i tworzenia kombinacji oraz wyczucia, co robią przeciwnicy; wspinała dla miłośników tradycyjnego remika. *Challengers! Drużyna marzeń* – „ustawka w parku”; gra nawet dla ośmiu osób, przyjmująca format gry turniejowej (siedem rund jeden-na-jednego) z elementami budowy talii.

Ceti

FIGURKI Z TOLKIENA NA UNIWERSYTECIE GDAŃSKIM

W przedostatni weekend sierpnia Biblioteka Główna UG gościła ponad pięćdziesięcioro graczy z różnych stron Polski, którzy stawili się na kolejny turniej gier bitewnych rozgrywających się w świecie Tolkienowskiej sagi.

wg: facebook.com/tvp3gdansk.pl



fotomontaż: Andrzej Prószyński

W GRODZIE WEJHERA O GRACH KOMPUTEROWYCH

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej oraz Frozengem Studio zorganizowały 28 sierpnia zamknięte beta-testy kaszubskiej gry fantasy *Lochy Bursztynowego Gryfa*. Z kolei dzień później, również w Książnicy prof. Geralda Labudy (będącej częścią tego wejherowskiego muzeum), odbyły się warsztaty tworzenia gier w Unreal Engine 5.

wg: jantargameev.pl

POLITECHNIKA GDAŃSKA W PRESTIŻOWYM RANKINGU

W gronie dziewięciu uczelni z Polski, które trafiły na prestiżową listę szanghajską, znalazła się również Politechnika Gdańska – notabene jako jedyna szkoła wyższa z Pomorza.

wg: gazeta.pl



KOLEJNA ŻAŁOBA W FANDOMIE

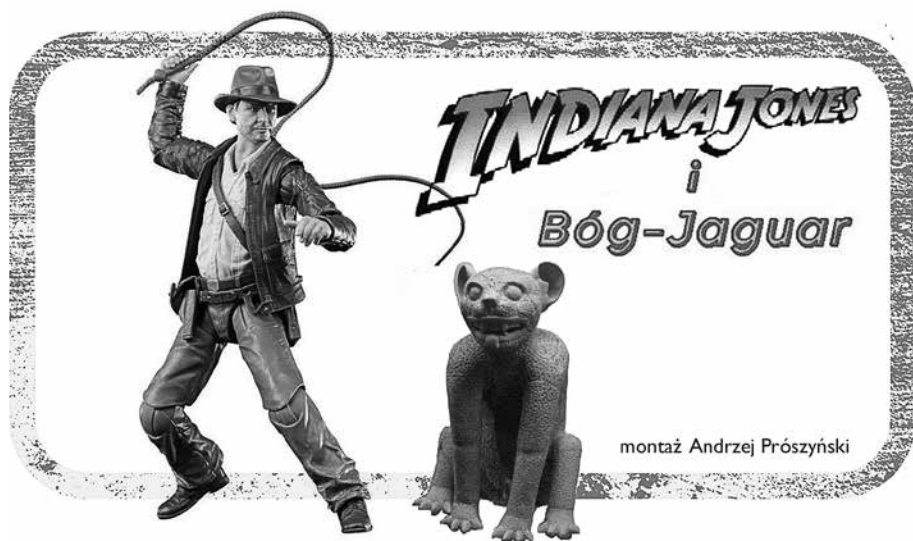
6 czerwca, po długiej walce z chorobą, odszedł nasz Przyjaciel z fandomu – Artur Piaszczyński. Pożeracz książek analogowych, znawca muzyki filmowej, człowiek o fotograficznej niemalże pamięci. Na szczęście pozostają wspomnienia epickich imprez i ciekawych dyskusji, które toczyły się przy piwku (lub nawet dziesięciu piwkach)... Ostatnie pożegnanie Artura odbyło się 15 lipca w Słupsku.

Logan

AMERYKAŃSKI ASTRONAUTA O POLSKICH KORZENIACH

17 sierpnia, w wieku 85 lat, zmarł były amerykański astronauta Karol Bobko. W latach 1983–1985 uczestniczył w trzech misjach kosmicznych na pokładach wahadłowców Challenger, Discovery i Atlantis. W kosmosie spędził łącznie ponad 16 dni. Bobko publicznie przyznawał się do swoich polskich korzeni (choć po polsku znał tylko parę słów); kilkakrotnie też odwiedzał nasz kraj.

jp



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

Jak Eryk ocalił świat

Przyznam się, że tym razem z wyjątkową niecierpliwością czekałem na kolejne *story party* u Wojtka. Ten uroczy gawędziarz raczył nas, swoich stałych słuchaczy i przyjaciół, wyjątkowymi, często całkiem zakręconymi, opowieściami. A parę dni temu zapowiedział, że ma dla nas coś specjalnego.

Gospodarz jak zwykle zaczekał, aż poziom piwa w naszych organizmach osiągnie optymalną wartość, po czym retorycznie zapytał, czy mamy ochotę posłuchać czegoś interesującego. Oczywiście mieliśmy.

— Ta historia zdarzyła się równo dziesięć lat temu, choć poznałem ją całkiem niedawno — rozpoczął. — Uznałem, że poczekam na rocznicę, by ją odpowiednio uhonorować.

Nie ma co ukrywać – zaintrygował nas. Wojtek odchrząknął, upił kolejny łyk piwa, po czym kontynuował:

— Parę tygodni temu spotkałem dawno nie widzianego kumpla, Eryka. Znam go jeszcze ze studiów, skończył archeologię. Wszyscy absolwenci tego kierunku marzą o wykopaliskach w egzotycznych krajach, ale proza życia natychmiast ustawia ich do pionu. Mojego kumpla zawsze fascynowała cywilizacja Majów, przyrzekł więc sobie, że nie odpuści. Łatwo postanowić, trudniej wykonać – na szczęście istnieje pewien sposób, o którym głośno się nie mówi.

Eryk, zdolniacha, był autorem kilku błyskotliwych artykułów. Przesłał je pod kilka znanych sobie adresów w Ameryce Środkowej z propozycją napisania paru następnych w imieniu adresata. No i znalazł kogoś, kto zaprosił go na swój prywatno-służbowy koszt do Muzeum Majów w Cancún na półwyspie Jukatan.

To muzeum zostało otwarte zaledwie kilka miesięcy wcześniej, dokładnie 1 listopada 2012 roku. Kiedy Eryk się tam pojawił, zastał na zapleczu mnóstwo artefaktów wymagających pilnego opisu. Natychmiast rzucił się w wir roboty udowadniając z marszu, że jest wart pieniędzy, które na niego wydano.

Akurat w listopadzie 2012-go odnaleziono kolejną świątynię Majów ukrytą głęboko w dżungli, co nikogo specjalnie nie zdziwiło – takie odkrycia zdarzają się tam cały czas. Interesujące było coś innego: dwumetrowa kamienna figura stojąca pod gołym niebem, tuż przed piramidą. Przewieziono ją do muzeum, gdzie niedługo po swoim przyjeździe natknął się na nią Eryk.

Oczywiście mój kumpel od razu skumał, z czym ma do czynienia – było to wyobrażenie Boga-Jaguara, zwanego też bogiem L, władcy Podziemia, który przynosi naszemu światu wojny i katastrofy. W posągu zaintrygował go jeden istotny szczegół, a mianowicie faktura materiału. Nie była to bowiem zwykła chropowatość kamienia ani też gładkość tworzywa doskonale wypolerowanego. W jakiś przedziwny sposób powierzchnia figury, aczkolwiek bez wątpienia kamienna, przypominała skórę człowieka albo zwierzęcia.

Eryk odczuł pokusę, która była silniejsza od niego, uszczknął więc drobny fragment posągu i poddał go badaniom. Gdy potraktował próbkę roztworem kwasu siarkowego, doszło do istotnej przemiany – zaczęła naprawdę wyglądać jak kawałek skóry. A pod mikroskopem objawiła się jej struktura komórkowa...

— Wiem, wiem — powiedział Wojtek, przyglądając się nam uważnie. — Ja też z początku nie uwierzyłem. Ale posłuchajcie, co było dalej...

— Oczywiście domyślacie się, jakie pomysły chodziły Erykowi po głowie. Ja też to od razu odgadłem. Ale ponieważ w starciu z biurokracją nie miał żadnych szans, postanowił na konspirację. Odczekał spokojnie do poniedziałku – dnia, kiedy muzeum jest nieczynne – i z pomocą podkupionych pracowników technicznych zainstalował wymyślone przez siebie urządzenie. Posąg ustawił w płytkim basenie, nad którym umieścił coś w rodzaju prysznic – z dopływem wody oraz kwasu siarkowego regulowanym dwiema sporymi dźwigniami. Eryk wypłacił ostatnią ratę pomocnikom i pozostał sam na sam z posągiem boga L.

Rozluźnił się, wziął głęboki oddech, uruchomił dźwignią dopływ wody, do której z wycuciem dodał strumyk kwasu. Już po chwili posąg nabrał koloru żywego ciała, a potem poruszył się i otworzył oczy. *Nareszcie – rozległ się gromowy głos Boga-Jaguara. Miał mnie obudzić kwaśny deszcz, ale jacyś głupi ludzie zabrali mnie pod dach. Dopiero teraz ktoś – tu spojrzał wymownie na Eryka – poszedł po rozum do głowy. Mamy co prawda kilka miesięcy opóźnienia, ale dziś już bez przeszkód przywołam jaguary, które wygubią rodzaj ludzki, tak jak zostało przepowiedziane.*

Jak bez wątpienia zdążyliście zauważyć, Eryk jest człowiekiem energicznym i zaradnym. Także i teraz nie stracił kontenansu. Odciął szybko dopływ wody, jednocześnie drugą dźwignię, tę od kwasu, wdusił do dechy, a następnie wybiegł z pokoju, nie oglądając się za siebie. Na korytarzu spokojnie oszacował czas opróżnienia zbiornika z kwasem i zgrubnego oczyszczenia powietrza z oparów przez nowiutki wentylator, dodając jeszcze parę minut na wszelki wypadek.

We właściwej chwili ostrożnie zajrzał do pokoju. Poza brunatną breją, kotłującą się w basenie, nie było tam już niczego godnego uwagi.

— No i co powiecie, chłopaki? — zakończył Wojtek swoją opowieść. — Myślę, że Erykowi należy się szacun i wielkie brawa. Mam rację?

Skupiliśmy spojrzenia na Tomku, dyżurnym sceptyku, zwanym w naszym gronie *niewiernym Tomaszem*, który zgodnie z ustalonym rytuałem skrzywił się i oświadczył dobitnie, że nie wierzy w prawdziwość tej historii. A potem dodał, że opowieść została prawdopodobnie luźno oparta na fabule niezrealizowanego dotąd filmu *Indiana Jones i Bóg-Jaguar*. Wojtek spojrzał na niego pobłażliwie, podsunął mu kolejne piwo i oznajmił:

— Jest jeden niepodważalny dowód, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

— Czyżby? — zainteresował się Tomek.

— No jak to, nie widzisz? Jest niezbitym faktem, że wszyscy nadal żyjemy, chociaż od tamtych wydarzeń minęło dziesięć lat. A kto nas uratował, chłopaki?

— Eryk! — odkrzyknęliśmy chórem, poklepując się nawzajem radośnie po plecach. I tylko Tomek nie wyglądał na przekonanego ■

(14.04.2023)



YARKOS 2023

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

PRZESZŁOŚĆ NALEŻY DO NAS, CZYLI: TRZEBA BYŁO NIE NAPADAĆ NA POLSKĘ!

Nie do wiary, że od premiery czwartej części przygód dr. Henry'ego Jonesa Jr. minęło 15 lat! Co prawda przepaść między jej trzecią a czwartą odsłoną wynosiła lat aż 19, ale czekanie na finałowy epizod półtorej dekady to naprawdę sporo. W tzw. międzyczasie swoje remake'u doczekała się znacznie „młodsza” archeologiczna gwiazda filmowego firmamentu Lara Croft, a niezmordowany profesor wciąż dumnie trwa na swoim posterunku. Co więcej – odgrywający jego rolę Harrison Ford ogłosił, że Indiana Jones to on i nikt inny nie będzie się wcielał w tę postać. Dałby Bóg, choć nie takie już deklaracje szły do kosza, kiedy pojawiała się szansa wyjęcia większej kasy z kieszeni widzów. Co prawda przygody Indy'ego Jonesa są wytworem autorskim i nie należą do żadnej firmy produkcyjnej, jak wspomniane perypetie panny Croft czy wystąpienia innego nieśmiertelnego bohatera – Jamesa Bonda, ale przecież wszyscy jesteśmy śmiertelni, a spadkobiercy mogą nie mieć tylu skrupułów, co pierwowórca.

Indiana Jones i artefakt przeznaczenia (w oryginale *Dial of Destiny* – spróbujcie to *dial* jako sensownie przetłumaczyć; nawet ze swoim dyplomem technika mechanika precyzyjnego nie potrafię się zdecydować, czy bardziej chodzi o 'łącznicę' – taką jak w telefonicznej centrali, czy może raczej – 'przekładnię' lub 'sprzęgło'; w każdym razie żadna z tych propozycji nie nadaje się na tytuł komercyjnego filmu, a ten nieszczęsny 'artefakt' mimo wszystko jakoś się broni), jak każda nieparzysta część tego cyklu, wznosi się na poziomy niedostępne poprzedniej – więc i tym razem również mamy do czynienia z tą tendencją.

Zresztą nie tylko sama nieparzystość implikuje podniesienie jakości obrazu, ale także wprowadzenie na scenę najlepiej się nadających do ról antagonistów Indy'ego – nazistów. Bo choć, jak twierdzi najbardziej znany filmowy archeolog, Niemcy nie mają poczucia humoru, to jako rywale Jonesa zawsze wpłatają się w jakieś groteskowe i spektakularne kabały.

Daruję sobie opowieści o tym, jak świetnie jest to pomyślany film i jak mistrzowsko gra motywami z poprzednich części (ciekawe, czy można w tym wypadku mówić już o jonesowskich toposach?). W efekcie stanowi on znakomitą pozycję zwłaszcza dla fanów serii, ale i mniej zorientowani w jej natręctwach widzowie na pewno nie będą się nudzić. To w dużej mierze zasługa nowego reżysera, Jamesa Mangolda, który nie miał skrupułów, parodiując kultowe sceny poprzednich odsłon i z gracją przeprowadzał przez nie aktorów. Na poziomie scenariusza jest to bowiem reprzyza tego wszystkiego, co uczyniło ten cykl kultowym (i tak musiało być, skoro został on pomyślany jako *grande finale*). Owszem, rzeźbione sceny poddano daleko idącym metamorfozom, oryginalny był zaś jedynie tytułowy gadżet, na poszukiwanie którego wybrał się profesor, by przeszkodzić nazistom zawojuwać świat, lecz posiadacze znacznie bardziej analitycznego umysłu ode mnie potwierdzą to z całą pewnością – film to kalka poprzednich. Ale czy nudna, czy przewidywalna? Co to, to nie! Konia z rzędem temu, kto się domyślił, skąd się wzięły na sarkofagu starożytnego twórcy artefaktu przeznaczenia wizerunki samolotów i dlaczego jego mumia nosiła XX-wieczny zegarek!

Po tej przydługiej ekspozycji czas już przejść do meritum; a przede wszystkim wyjaśnić, skąd tytuł. Od części czwartej mamy do czynienia w serii jonesowskiej z wyraźnym przechyłem ku tzw. astroarcheologii. Indy nie szuka już zaginionych obiektów kultu, ale przedmiotów łączących Ziemię z materią Kosmosu; wchodzi więc poniekąd na terytorium dobrze znane fanom fantastyki i nieźle już zagospodarowane. Samo *Królestwo Kryształowej Czaszki* niezwykle przypominało mi *Pana Samochodzika i Człowieka z UFO* (to jest w ogóle temat na naprawdę poważny szkic: wyszukanie podobieństw między cyklem Nienackiego a Lucasa i Spielberga; nie po to, bynajmniej, by komuś udowadniać plagiat, ale by pokazać, jak pewne motywy krążą po świecie – i to pomimo dzielących go żelaznych kurtyn). *Artefakt przeznaczenia* idzie jeszcze dalej, bo zaprzęga do współpracy fizykę kwantową czy teorie nt. podróży w czasie. Znacząca jest w tej perspektywie scena, kiedy hitlerowcy wywożący przed nacierającymi aliantami zrabowane przez siebie skarby natrafiają na legendarną i pieczętującą władzę posiadacza nad chrześcijańskim światem Włócznie św. Maurycego. W trybie pilnym chcą obdarować nią Hitlera, ale przedmiot okazuje się falsyfikatem. Natomiast między dziełami sztuki kryje się niepozorny, choć zachowany w znakomitym stanie, fragment mechanizmu z Antykithiry. Tylko nazistowski naukowiec dr Voller (Mads Mikkelsen) wie, do czego on służy i że ze wszystkich *wunderwaffe* może być najskuteczniejszy. Dla opętanych okultyzmem SS-manów z Zakonu Thule to jednak nic nie warty złom – tym bardziej, że brak jego drugiej połowy. W efekcie widowiskowego pojedynku na dachu pędzącego pociągu (skąd my to znamy?) tarcza przeznaczenia trafia w ręce Jonesa (odmłodzony przez sztuczną inteligencję Ford wygląda

na ekranie jak swoje prawdziwie młodsze wcielenie).

Historia mechanizmu się jednak na tym nie kończy, bo Voller, już jako Schmidt, pojawia się ponownie w roli twórcy amerykańskiego programu kosmicznego w chwili swego największego triumfu – powrotu z Księżyca członków misji Apollo 11. Marzy teraz o czymś znacznie bardziej spektakularnym, ale na przeszkodzie staje mu świeżo odesłany na emeryturę Henry Jones Jr. Zdaniem niemieckiego fizyka, ale także dawnego przyjaciela Jonesa dr. Basila Showa (Toby Jones – nie wiem dlaczego, ale nawet kiedy gra zaprzających, zawsze budzi moją sympatię, widać taki urok jego pyzatej twarzy), mechanizm stworzony przez Archimedesza nie tylko miał ułatwiać żeglarzom nawigację, przewidywać pogodę, ale także namierzać portale, przez które można było podróżować w czasie. To jest ta część fikcyjna (fantastycznonaukowa?) filmu, ponieważ sam mechanizm, wyłowiony zresztą dokładnie w tym samym czasie, co w świecie przedstawionym *Artefaktu*... (dobra teoria spiskowa zawsze musi się opierać na sprawdzalnych faktach), był rzeczywiście uszkodzony, ale badania naukowców potwierdzają jego nadzwyczajną złożoność, jak na urządzenie sprzed 2200 lat, oraz przydatność do śledzenia ruchu wybranych gwiazd na niebie, określania dat zaćmień słońca i księżyca, igrzysk olimpijskich zwłaszcza w latach przestępnych itp. itd. Słowem był to swego rodzaju smartwatch z II w. p.n.e. Mechanizmem zainteresowana jest także córka Showa (i chrześnica Jonesa) Helena (Phoebe Waller-Bridge), uwikłana w jakieś ciemne interesy, w wyniku których musi szybko upłynąć na nielegalnej aukcji w Maroku ów cenny przedmiot. Mamy więc trójkę poszukiwaczy niebezpiecznego gadżetu, a każde z nich goni za nim w innym celu.

O czym zatem mówi nam ten film? W moim odczuciu, zadziwiająco zgodnym z odczytaniem premiera Morawieckiego, o tym, jak potężną bronią jest władza nad czasem. Nieprzypadkowo Voller, po rzuceniu już maski dobroczyńcy Zachodu, manipulując przy mechanizmie, powiada: *Przeszłość należy do nas!* Nie jest to wyłącznie błyskotliwe nawiązanie do *Kabaretu* Boba Fosse'a i finałowego hymnu rodzącego się nazizmu *Future belong to us*, ale mrozące krew w żyłach nawiązanie do Orwellowskiego Ministerstwa Prawdy, które codziennie aktualizuje historię, by być w zgodzie ze współczesnymi trendami (kto się jeszcze dziwi, czemu w dobie *cancel culture* to twórca wyklęty i *prawicowy radykał* – ma do odrobienia niejedną pracę domową). W tym konkretnym wypadku nie chodzi jednak o to, by zmieniać treści starych gazet, ale by bezpośrednio ingerować w wydarzenia z przeszłości (to również motyw ograny przez światową fantastykę). Fikcyjny Voller, podobnie jak prawdziwy Claus von Stauffenberg (nazista i obmierzły rasista jak każdy inny członek NSDAP – przerażające, że uznawany we współczesnych Niemczech za bohatera, który zachował się jak trzeba), szansy na zwycięstwo Niemiec w II WŚ upatruje w odpowiednio wczesnym wyeliminowaniu Hitlera. Dlatego pragnie przenieść się w czasie do roku 1938 i usunąć Adolfa, zajmując jego miejsce. Czy taka zamiana zmieniłaby los Żydów i Słowian środkowej i wschodniej Europy? Myślę, że wątpię. Idea Lebensraumu była powszechnie akceptowana w Niemczech, podobnie jak przeświadczenie o wyższości rasy nordyckiej nad innymi (Duńczyk Mikkelson to idealny Got!), a zwłaszcza nad Żydami i Słowianami. Może dlatego Jones dwukrotnie rzuca w twarz naziście: *Nie trzeba było napadać na Polskę!* (swoją drogą ciekawe, jak to

przetłumaczyć w takiej putinowskiej Rosji? Nie trzeba było napadać na ZSRS?). Mile polectały mnie te słowa, bo przecież historia polskiego udziału w II WŚ została już do tego stopnia zafałszowana (również za sprawą lokalnej targowicy, zwłaszcza z kręgów rewizjonistów historycznych bez kierunkowego wykształcenia i umiejętności przeprowadzenia rzetelnej krytyki źródeł), że przypomnienie, od czego się ona zaczęła, to krok w stronę odzyskania naszej historii w oczach świata (i niech ktoś jeszcze spróbuje powiedzieć, że podniesienie kwestii reparacji od Niemiec za zniszczenia wojenne to niepotrzebne zadrażnianie dobrosąsiedzkich relacji!).

Satyryczny wymiar tego obrazu, będący być może nawet zawołaną krytyką zjawiska wokeizmu, ma również wydźwięk nostalgiczny. Oto udający się na emeryturę wykładowca i archeolog dostaje przypadkowo szansę spędzenia reszty swojego życia w czasach, które ukochał, studiując które, strawił najlepsze lata, a ponieważ nie spodziewa się, że coś lepszego może go jeszcze spotkać – gotów porzucić etos oraz odpowiedzialność naukowca i z badacza historii stać się jej uczestnikiem. Na szczęście zimną krew zachowała jego chrześnica i wyciągnęła go z tej temporalnej matni.

Jeszcze inna warstwa obrazu związana jest z samym Harrisonem Fordem. To nie tylko jego pożegnanie z postacią, ale sentymentalna podróż do źródeł, swoisty powrót do przeszłości, igranie z materią filmu, by jeszcze raz się poczuć jak na początku tej przygody. I choć przy finałowej scenie nie poryczałem się, jak przewidywałem, to oczy miałem leciutko spocone, a moje wzruszenie ukrywał jedynie mrok kinowej sali. Bo dla mnie to też była przygoda życia, którą rozpocząłem jako nieopierzony nastolatek, a kończę jako ojciec

pełnoletnich córek. Cykl o Indym niewątpliwie jest sztandarową oraz ikoniczną egzemplifikacją zjawiska Kina Nowej Przygody i – mam takie nieodparte przekonanie – że wraz z jego zakończeniem ta księga się również zamyka.

Na zakończenie jeszcze parę uwag. Film dość przewrotnie pokazuje, że nawet geniusze nie mogą wiedzieć wszystkiego. Fizyk Voller, który błyskotliwie rozgryzł zasadę działania tarczy Archimedesza, nie uwzględnił jednego tylko, zdawałoby się najmniej ważnego parametru, jakim są ruchy skorupy ziemskiej (o których genialny Grek nie miał pojęcia). W efekcie padł ofiarą efektu motyla, bo czasowa burza przeniosła go do innego roku, niż do tego, do którego się wybierał. Jak na fizyka, który powinien znać teorię kwantów, zachował się wielce nieprofesjonalnie, ale

wizja bliskiego triumfu odebrała mu naukowy krytycyzm (to trochę tak, jak z ekonomistami, którzy przewidywali na jesień 20% inflację, a tymczasem, nawet jeśli nie jest tak różowo, jak przedstawiają to urzędowe statystyki, to na pewno nie tak czarno, jak życzyłaby sobie „demokratyczna opozycja” – z kwantami lepiej nie zadzierać).

Uwaga druga, ze wspomnianej pary, dotyczy frekwencji na seansie. Przykro to pisać, ale choć na filmie byliśmy całą rodziną w weekend, a sala w multiplexie nie należała do największych, to miejsca na widowni wypełnione były w najlepszym wypadku ledwie w połowie. W porównaniu z taką *Barbie* czy *Oppenheimerem* (o których słów kilka w Okruchach) to w ogóle szkoda gadać. Ludzie! Co się z Wami stało? ■



Indiana Jones i artefakt przeznaczenia; reż. James Mangold; USA 2023; fragment plakatu

ARTUR ŁUKASIEWICZ

STARZEC UDAJE MŁODZIENTASZKA, WKURZAJĄCA CHRZEŚNIACZKA I JAK ZDOBYWANO SYRAKUZY – CZYLI DLACZEGO NIE WZRUSZYŁ MNIE NOWY INDY...

**Będą spoilery – ale podejrzewam,
że kto miał zobaczyć, to zobaczyć;
jednak ostrzegam!**

Ruszenie legend jest zawsze pewną niewiadomą. A zwłaszcza takiej legendy, jaką dla mojego pokolenia jest filmowa trylogia o Indiana Jonesie. Dziś, wciąż, mimo upływu przeszło czterdziestu lat, mogę z dużą przyjemnością obejrzeć *Zaginioną Arkę* oraz *Ostatnią krucjatę* (te perełki dialogów ojca i syna!). Część drugą szanuję; jednak odnoszę wrażenie, że jest ona trochę o czymś innym. Ale czwarta opowieść (*Kryształowa Czaszka*) – mająca w założeniu być zamknięciem historii i przekazaniem pałeczki następcy – moim zdaniem nie uniosła ciężaru i, choć miała kilka ciekawych momentów, okazała się klapą i zostawiła po sobie wzruszenie ramion.

Tak więc przymiarka do części piątej pod tytułem *Indiana Jones i artefakt przeznaczenia* budziła we mnie niepokój. Bo choćby z przecieków obsadowych wynikało, że grający syna Indy'ego Shia LaBeouf się w niej nie pojawi. Z jednej strony – to dobrze, bo tamtej roli niestety nie udźwignął; z drugiej strony – niejako powodowało to pewien rozdźwięk z poprzednią częścią.

Z najnowszą częścią mam problem. Niestety.

Początek, z odmłodzonym komputerowo Harrisonem Fordem dziejący się w Normandii,

na parę chwil przed D Day, powoduje, że moje dziaderskie serduszek bije szybciej. Tak, wiem: to już było, sto tysięcy razy oglądaliśmy pojedynkę na dachu pędzącego pociągu. Już niemy *General* z Busterem Keatonem pokazywał pierwsze tego typu galopady po dachu rozpędzonego pociągu. Ale, mimo wszystko, to było to, co w jakiejś mierze chciałem zobaczyć. I w dodatku ci podli naziści...

I to dostałem.

Potem jest już gorzej.

Bo nagle przeskakujemy do lipca 1969 roku. Jakież kontrast! Niemrawy, gderliwy starzec, którego nikt nie słucha ani nie szanuje. W tle hipisowscy Beatlesi oraz parada z okazji powrotu astronautów. A ten niezdarny, zrzedliwy staruszek tak mocno wbił się w moją podświadomość, że nawet gdy nagle zaczyna wykonywać swoje dobrze znane, nadludzkie wy-czyny – jakiś złośliwy głosik w głowie mówi mi „naprawdę”? Przecież on ledwo wstał z łóżka! Ta wiotka muskulatura sprawia, że teraz wspina się po skałach niczym młoda kozica?

Druga rzecz, która mi przeszkadza, to to, czego zażądał podobno sam Ford. Czyli „pogłębienie postaci”. Sorry: Indy to postać prosta niczym cep. Ma misję do wykonania, zdrowy kręgosłup moralny – i reszta jest tylko dodatkiem do tej misji. Ma swoje fobie, swoje miłosne zagrywki, ale i brawurowe wyskoki. Takie, że dech zapiera. Wodospady, pojedynki na szable w pędzących samochodach,



Indiana Jones i artefakt przeznaczenia; reż. James Mangold; USA 2023

wariacką ucieczkę przed rozpędzoną kulą, czy też walenie batem gdzie popadnie. On raczej wyskoczy z pędzącego pojazdu – niż pomyśli, czy jest to wykonalne.

A problemy z żoną, emerytura, śmierć syna na wojnie (pewnie tej w Wietnamie, ale to nie zostaje wyjaśnione)... Przepraszam, ale tylko zamula fabułę – i sprawia, że atmosfera zabawy siada (i, wiecie co, mam to gdzieś!).

Aha, pojawia się chrześniaczka Indy’ego, niejaka panna Helena, która wciąga go w intrygę i niejako zmusza do działania, co wcale się naszemu archeologowi nie podoba. Panienka ma tak wredny charakter i tak dalece lekceważy swego „tatusia chrzestnego”, że absolutnie nie mam ochoty bliżej jej poznawać. Ale, niestety, osóбка ta wypełnia sobą prawie cały czas naszego filmu. Odpychająca „współpraca” ani nie jest zabawna, ani fajna, gdyż chemii (nawet tej w „złym znaczeniu”) nie ma tu wcale. Helena chce tylko szmalu, a Indy może się walić.

W szkole filmowej uczono mnie, że każdy „niesympatyczny i zły” bohater ma prawo do wewnętrznej przemiany, zrozumienia swojego błędu i poprawy. Tak, byśmy my, widzowie, mu wybaczyli. Tu taka wyraźnie zaznaczona

przemiana nie zachodzi. Panienka jest zła przez dziewięćdziesiąt procent czasu filmu; po czym nagle, ni stąd ni zowąd, już nie jest. Ot tak.

I teraz jeszcze jedna ważna sprawa.

Mamy rok 1969. To, o ile dobrze pamiętam, nasz szanowny redaktor PiPiDżej pamięta w miarę dobrze – bo chyba albo widział albo przynajmniej słyszał o lądowaniu na Księżycu. Ja miałem troszeczkę ponad rok*.

Mam wrażenie, że epoka odkrywców-archeologów, którzy po prostu szukają artefaktów na podstawie tajemnych zapisków czy innych dziwnych artefaktów jest w dużej mierze wymyślona na potrzeby filmu lub awanturniczej literatury przygodowej. Archeologia – to żmudna kopanina i poszukiwanie zakopanych po ziemią dawnych budynków, grobów czy podziemnych miast. Nie ma w tym nic z tak zwanego romantyzmu, tajnych wejść, zapadni, czy nawet robali, węży, pająków i temu podobnych okazów fauny (choć takowe pułapki podobno zdarzały się w egipskich grobach; ale miały za zadanie nie tyle skomplikować

*Ja miałem dziesięć i pół roku – więc doskonale pamiętam wakacyjną transmisję z lądowania Apollo 11 – przyp. jpp.

odkrycie grobu, lecz jedynie zmylić rabusiów, którzy mieli chęć zabrać pozostawione wraz ze zmarłym kosztowności). To mrówcza praca w piasku i z odpowiednimi narzędziami w dłoni. Współczesna archeologia może dodatkowo posługiwać się już na przykład georadarami lub wszelkiego rodzaju urządzeniami działającymi na zasadzie echolokatora.

Coś, co można (od biedy, mrugając okiem) uznać za możliwe – musimy nieco przesunąć w czasie: albo do epoki „wielkich geograficznych odkryć naukowych”, albo do czasów na tyle „odległych”, że damy sobie radę z uwierzeniem, że to możliwe. Nawet do nieco już mitycznych lat początków dwudziestego wieku, ale na czasach drugiej wojny ewentualnie kończąc. Już lata pięćdziesiąte są dość dużym nadużyciem; ale, ponieważ większość akcji rozgrywa się w odległych i rozległych lasach Ameryki Południowej – można, że tak powiem, „zawiesić czas” na kołku.

Jednak umieszczenie akcji we współczesnej Grecji i na Sycylii, gdzie do „miejsca odkrycia grobu Archimedesesa” (swoją drogą: ten grobowiec był podobno znany już w czasach rzymskich, tylko zapomniano o jego lokalizacji; zaś to, co pokazuje się jako jego „grób”, nim nie jest) można właściwie dojechać samochodem albo autobusem, zaś do miejsca właściwego ukrycia skarbu można po prostu wejść, kupując wcześniej bilety – to po prostu *bullshit!* na całego. Jakoś tak nie wierzę, że w 1969 roku ktoś, pozwalając ludziom wejść do czegokolwiek, co ma starożytny charakter, nie zbadał tego wcześniej – i to przy pomocy najnowocześniejszych dostępnych technik (zarówno podejrzanych zakamarków, jak też ukrytych korytarzy). No chyba, że mamy do czynienia z bandą nieodpowiedzialnych debili, a nie naukowców-archeologów. To nie te czasy! Myślę, że świat poszedł już na tyle do przodu,

że „odkrywanie tajemniczych grobowców” w miejscu, do którego da się wejść z biletem wstępu, to po prostu trochę naciągane jest.

OK, ktoś powie, a takie coś, jak odkrycie dwóch tajemniczych trumien w katedrze Notre Dame – i to współcześnie (ot, rok temu)? No tak, ale musiało dojść do „niespodziewanego wydarzenia”, jakim było zapalenie się katedry, by je odkryto. Nic nie dzieje się na zasadzie: wchodzimy, coś tam w słoneczko popatrzmy, na zmyślnym urządzeniu przesuniemy tarczę – i wszystko będzie jasne. Nie, nie będzie.

Pozostaje jeszcze kwestia podróży w czasie. No cóż – ta seria miała konotacje ku „fantastyce”, ale raczej w stronę bardziej „mystery” niż jej czystych elementów. Tutaj zaś mamy odlot na całego!

Przyznam, że moja ocena byłaby wyższa, gdyby Indy po prostu został w Syrakuzach. By okazało się, że rozgrzebany grobowiec – to w rzeczywistości nie grób Archimedesesa, tylko jego własny grób. I walić to, co wmawiał nam serial o *Młodym Indiana Jonesie* – bo choć go lubię, to uważam, że to taka alternatywna odnoga i jest zupełnie o czymś innym.

Nasza Helena przekonuje, że Indy musi wrócić, bo zmieni się historia; jakby latające po niebie samoloty, strzelanie z automatycznej broni do rzymskich żołnierzy, w końcu wrak jednego z samolotów nic by w tej historii nie zmieniły.

Moim zdaniem – fajnie byłoby, gdyby został... Ale nie! Musimy w nie wiadomo jaki sposób wrócić do właściwego czasu i jeszcze na koniec otrzymać ckliwy finał miłosnej historii dwojga starszków.

Proszę nie zrozumieć mnie źle. To nie jest film zły – raczej dla mnie po prostu „obojętny”, ze wskazaniem na „przejęty w niektórych momentach” ■

PIOTR KALKA

INDIANA JONES LUBI PRZYGODY

Na wieść o planach nakręcenia nowego *Indiany Jonesa* – które na poważnie pojawiły się w mediach jakieś dwa-trzy lata temu – z jednej strony poczułem duże podniecenie, z drugiej spory niepokój. Ekskcytaacja miała podłoże dość proste: filmy o przygodach dzielnego archeologa to jedno z ważniejszych przeżyć mojego dzieciństwa. I chociaż wybór drogi życiowej (z wykształcenia i wykonywanego zawodu jestem archeologiem) nie był oczywiście w bezpośredni sposób spowodowany chęcią dorównania przygodom *Indiany* – to kto wie: może w głębi mojej podświadomości tamte dziecięce emocje miały jednak jakieś znaczenie ☺. Obawy łączyły się natomiast z mocno już przecież zaawansowanym wiekiem Harrisona Forda oraz z zupełnie (w mojej ocenie) nieudaną częścią czwartą, o której najchętniej w ogóle chciałbym zapomnieć.

Do kina wybrałem się z moim wieloletnim przyjacielem, z którym trzy dekady temu (nie raz i nie dwa razy) „katowaliśmy” na VHS pierwsze trzy części serii. Nie chcąc psuć sobie zabawy – przed seansem świadomie nie czytałem żadnych recenzji i nie oglądałem trailerów. Jedyne, przed czym się nie ustrzegłem, to zasłyszane opinie, że film jest za długi. W mojej ocenie nie był.

Takie stwierdzenie, jak łatwo się domyślić, daje do zrozumienia, że uważam opisywany film za udany. W istocie tak właśnie jest. Podczas oglądania *Indiany Jonesa i artefaktu przeznaczenia* dostałem dokładnie to, czego oczekiwałem. Była tajemnica, była akcja, było

poczucie humoru, trochę sensacji, trochę dramatu. I był *Indiana*; pomimo że nie do końca taki, jak 40 lat temu – to jednak niezaprzeczalnie czułem, że spotykam się z bohaterem dobrze mi znanym. Co mi się szczególnie podobało? Dobry wybór „przedmiotu pożądania”. Mechanizm z *Antykithiry* to rzeczywiście niezwykle znalezisko, które – mimo ponad stu lat badań – nie do końca odsłoniło wszystkie swoje tajemnice. A to dało scenarzystom pole do zawiązania ciekawej historii związanej z tym urządzeniem. Podobało mi się również, że główna akcja toczy się w czasie, gdy *Indiana* (podobnie jak Ford) ma już swoje lata. Że nie nakręcono całego filmu odmładzając aktora za



Indiana Jones i artefakt przeznaczenia; reż. James Mangold; USA 2023

pomocą komputera. Dzięki temu początkowa retrospekcja, w której to zrobiono, zyskała sens i nie raziła sztucznością. Zabiegiem, na który czekałem – i co miało miejsce – były nawiązania do poprzednich filmów. I to zarówno w przypadku dowcipnej sceny z pejcem i rewolwerami, jak i przy pojawieniu się na ekranie „starych znajomych”, jak na przykład Sallaha. W tym miejscu warto może napisać coś o aktorach. Jak wspominałem – w mojej ocenie Harrison Ford dał radę. Bardzo podobala mi się Phoebe Waller-Bridge jako Helena oraz Mads Mikkelsen jako Voller. Jeżeli chodzi o aktorów drugoplanowych, zdecydowanie pozytywnie odebrałem Shaunette Wilson w roli agentki oraz Toby’ego Jonesa jako ojca Heleny. Nie podobał mi się natomiast Antonio Banderas jako nurek Renaldo. Zdecydowanie niepotrzebne wciśnięcie gwiazdy do tak epizodycznej roli. Miałem też wrażenie – co w sumie mnie zdziwiło – że film oparł się nachalnej politpoprawności zarówno w kwestiach ogólnych, jak i właśnie jeżeli chodzi o obsadę (*If you know what I mean...*). Za duży plus filmu uważam również ścieżkę dźwiękową; zarówno jeżeli chodzi o nawiązującą do klasycznego motywu muzykę Williamsa, jak i pojawiające się piosenki popularne. Fajną robotę moim zdaniem wykonali także scenografowie, szczególnie w scenach dziejących się w latach sześćdziesiątych w Nowym Jorku. Zresztą – ogólnie bardzo mi się podobał klimat tej części filmu, w której dawny „kozak”, zabijaka i wykładowca akademicki, w którym kochały się studentki, zamienił się w lekko

stetryczalego, sarkającego na hałas wywołany przez młodych dziadka, którego bolą stawy. Indiana nie zawiódł mnie również jako archeolog. Zgodnie z oczekiwaniami koncertowo, jak w każdym poprzednim filmie, doprowadził do totalnej demolki tego, co udało mu się odkryć ☺.

Do sporej beczki miodu, w którą powoli zaczyna zamieniać się ta recenzja, warto już chyba dodać łyżkę dziegciu. Oczywiście jest sprawą, że *Indiana Jones i artefakt przeznaczenia* to film fantastyczny. Dlatego absolutnie na miejscu są i podróże w czasie, i swobodne podejście do historii – zarówno starożytnej, jak i tej najnowszej. Niemniej jednak pojawia się w tym filmie coś, czego nie lubię, czego nie tłumaczy mi jego konwencja. Chodzi o zaprzeczanie elementarnym prawom fizyki, możliwościom ludzkiej sprawności, czy wytrzymałości materiałowej i technicznej pojazdów, samolotów, itp. Niestety w kilku scenach (szczególnie sięgających) wiarygodność oglądanych obrazów – nawet jak na film fantastyczny – została mocno nadwątlona.

Podsumowując, uważam piątego Indianę za film godny polecenia. Oglądając go można się i dobrze bawić, i trochę pomarzyć, a niekiedy nawet wzruszyć lub zadumać. Być może, gdybym miał dzisiaj naście lat i nie oglądał w młodości starych części cyklu, mój odbiór byłby inny. Lat mam jednak ile mam, pamiętam tamte emocje sprzed lat, więc całkowicie subiektywnie, ale ze stanowczością oświadczam, że *Indiana Jones i artefakt przeznaczenia* to dobry film jest – i warto go obejrzeć ■

Czy, jako fanka, nie macie nic przeciw temu, by w literaturze, filmie, grach oraz w plastyce pojawiały się elementy fantastyki typu SF/F/H



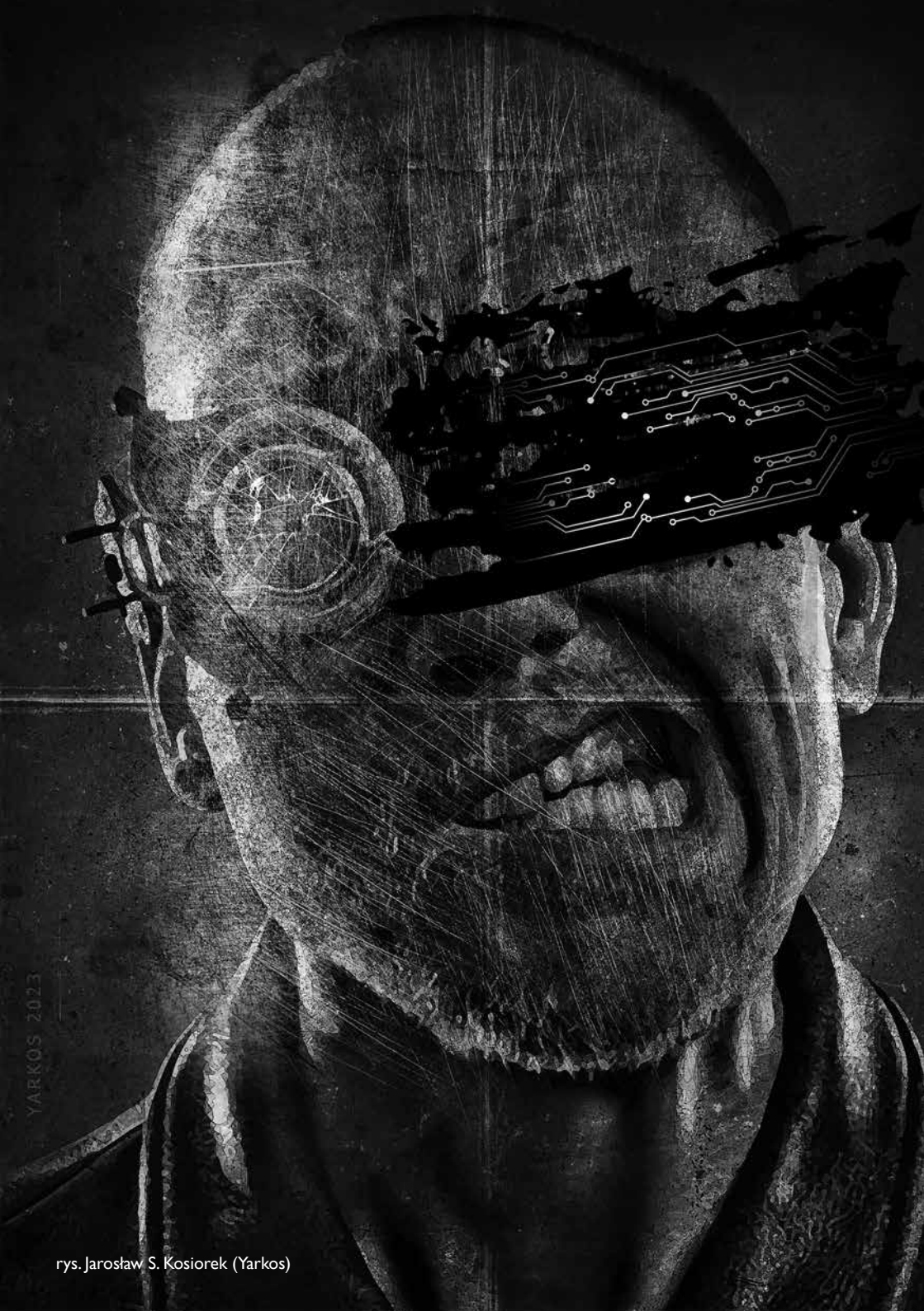
TAK



NIE

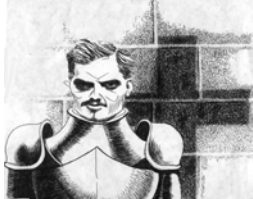
jp'23

...odpowiedzi na powyższe pytanie przysyłacie do redakcji INFO lub wysyłajcie na Berdyców!



YARKOS 2023

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



KORESPONDENCJA 143

REQUIEM NA ODEJŚCIE GIGANTA

Swego czasu nazwałem Lema stołem polskiej fantastyki, trzymając się więc tej gargantuicznej poetyki, skreślałem tych kilka słów ku pamięci nestora i bezdyskusyjnego giganta naszej dziedziny – zmarłego 17 lipca 2023 roku w wieku 87 lat Lecha Jęczyńka. Na początku spieszę wyjaśnić, że choć spotykałem go przy różnego rodzaju fandomowych okazjach, to nie mam złudzeń, że zostałem przez niego w jakikolwiek sposób zapamiętany – nie będę więc udawać, że się znaliśmy.

Zasługi Jęczyńka dla polskiej fantastyki są tak liczne, że dla większości z nas osiągnięcie choćby ułamka z nich byłoby nie lada sukcesem. W pierwszej kolejności był więc Lech Jęczynek tłumaczem, który uprzyściplenił polskim czytelnikom dzieła takich pierwszorzędnych twórców sf, jak: Brian W. Aldiss, James G. Ballard, Arthur C. Clarke, Philip K. Dick, Ursula K. LeGuin, Kurt Vonnegut, a spoza fantastyki m.in. Josepha Hellera oraz Chucka Palahniuka. Przez dziesiątki lat pracował jako redaktor, a jednym z ważniejszych obszarów jego zainteresowań była fantastyka. W latach 1970–1976 opracował w „Iskrach” sześć tomów almanachu „Kroki w nieznanne” – pierwszego polskiego protomagazynu sf (obok opowiadań, pojawiał się w nich blok publicystyki na tematy literackie, ale i naukowe, a całość serwowana była w oryginalnej szacie graficznej – niestety pismo to ukazywało się jedynie raz w roku). Następnie w latach 1978–1984 prowadził w „Czytelniku” serię z kosmonautą. Wreszcie, w czasach przemiany ustrojowej (1990–1992), szefował „Fantastyce” (później „Nowej Fantastyce”), z którą związany był od 1984 roku (jako szef działu

zagranicznego). Po odejściu z redakcji NF pracował krótko w TVP, a także angażował się w działalność polityczną, po jedynie słusznej prawej stronie. Nie porzucił jednak całkowicie czytelników pisma, publikując w nim jeszcze przez wiele lat historiozoficzne felietony z cyklu „Nowe średniowiecze” (zebrane później w tomie pod tym samym tytułem). Z czasu jego pracy w „Fantastyce” pochodzi anegdota, że zagroził odejściem z redakcji, jeśli konkursowe opowiadanie nieznanego nikomu Andrzeja Sapkowskiego *Wiedźmin* nie zostanie w żaden sposób docenione. Był wówczas chyba jedyną osobą w tej wojującej (z komuną), ale radykalnie sf-owej redakcji, która poznała się na talencie debiutanta i dostrzegła walory literackie jego prozy. Można więc powiedzieć, że był on akuszerem literackiej kariery łodzianina. O tym, jak ważną osobą był dla kolegów z F świadczy również fakt, że twórcy kultowej serii komiksowej *Funky Koval* sportretowali go pod postacią Paula Barleja.



fot. Jacek Piekara

Jęczyk trenował judo, a w stanie wojennym należał do grupy ochroniarzy księdza Jerzego Popiełuszki. Kontakt z tym kapłanem przyczynił się do jego nawrócenia. Inną osobą z Żoliborza (gdzie mieszkał), która odisnęła na życiu Jęczyka niezatarte piętno, był... Jacek Kuroń. Za sprawą tego komunistycznego wówczas watażki nie został przyjęty na anglistykę i w efekcie wyładował na filologii rosyjskiej. Nigdy jednak tego nie żałował, a studia te umożliwiły mu m.in. kontakty z sowieckimi dysydentami.

Wśród wielu oryginalnych pasji Jęczyka na szczególną uwagę zasługuje jego fascynacja teoriami spiskowymi. Nie wiem, czy wierzył w nie wszystkie (niektórzy twierdzą, że tak), wydaje mi się jednak, że traktował je raczej jak badacz: nie odrzucał ich, jeśli nie znalazł przekonujących dowodów na fałszywość tej czy innej ukrytej prawdy.

Jęczyk lubił opowiadać, jak to, jako trzylatek, obserwował triumfalny wjazd Hitlera do Warszawy w październiku 1939 roku. To od niego dowiedziałem się, że Michał Kleofas Ogiński swojego poloneza *Pożegnanie ojczyzny* ofiarował carowi (pod zmienionym tytułem jako rodzaj wkupnego po latach walki z caratem i pobycie na emigracji), a utwór ten zachował swą popularność również w czasach

ZSRS (był nawet głównym tematem wojennego filmu radzieckiego opowiadającego o hitlerowskiej okupacji Białorusi).

Po latach redaktorskiej pracy okazało się, że nie może przejść na emeryturę, bo nie za wszystkie lata odprowadzano za niego składki – musiał więc przepracować kilka lat jako nauczyciel angielskiego w jednym z warszawskich liceów.

W osobie Lecha Jęczyka straciliśmy jednego z największych znawców i popularyzatorów fantastyki w Polsce, a jednocześnie błyskotliwego gawędziarza, erudyty i świadka najnowszej historii. Gdziekolwiek się pojawiał i na jakikolwiek temat raczył zabrać głos, nieodmiennie magnetycznie przyciągał uwagę wszystkich słuchaczy. Był autorytetem, których w naszym świecie z każdym rokiem mniej. Wraz z jego odejściem – żegnamy pionierską epokę polskiej fantastyki, z jej niedoborami (nie tylko tłumaczeń, ale i racjonowania cenzurowanej rodzimej twórczości) oraz rodzącą się nadzieją, po powstaniu „Fantastyki” i rozczarowania, kiedy okazało się, że (jak to przewidział Adam Hollanek) do zabicia fantastyki wystarczy tylko znieść ograniczenia w dostępie do papieru. Spoczywaj w Panu, Mistrzu! ■

LOTEM BŁYSKAWICY

Ponieważ mój czytelniczy wysiłek tego lata nie przyniósł dotąd żadnych spektakularnych sukcesów, podzielę się wrażeniami z dzieł wizualnych, które obejrzałem w wakacje.

Trzeci sezon netfliksowego *Wiedźmina* utwierdza mnie w przekonaniu, że kompletnie niczego nie pamiętam już z cyklu Sapkowskiego. Nie rozpoznaję postaci, a wydarzenia ledwo co które. Gdyby nie narastające zaległości lekturowe natychmiast wróciłbym

do materiału źródłowego, aby się ponownie przekonać, czy to rzeczywiście był tak dobry cykl, jak mi się jeszcze parę lat temu wydawało. Serial idzie coraz słabiej, nie wywołuje żadnych emocji i nie tęsknię za kolejnym sezonem. Tym bardziej, że zapowiedziano już, że trzeba będzie poczekać na niego znacznie dłużej w związku ze zmianą aktora wykonującego główną rolę.

Na temat netfliksowskiego **Pana Samochodzika i templariuszy** również niewiele dobrego mogę napisać. Co prawda znacznie lepiej pamiętam telewizyjny miniserial *Samochodzik i templariusze* z Klossem niż powieść Nienackiego (czytałem ją tylko raz w połowie szkoły podstawowej), ale dzieło streamingowego potentata nie przypomina ani jednego, ani drugiego wcielenia Tomasza N.N. Co prawda do obsady wróciła dziennikarka – postać, którą relegowano z serialu TVP, ale dalsze zmiany są już tak znaczące, że szkoda gadać. Paradoks polega na tym, że – pomimo tych odstępstw i wielu scenariuszowych nonsensów – widzom bez nabożeństwa odnoszącym się do pierwowzoru literackiego może się on podobać (ot, takie letnie kino rodzinne). I na tym bym poprzestał; choć odpowiedzialnym za to, co zrobiono z Anną Dymną, należy się zakucie w dyby na krakowskim rynku i tak długie bombardowanie zgnitymi pomidorami, aż ich resztki sięgną im po dziurki w nosach. Jednej uwagi sobie jednak nie poskąpię, bo może któryś z czytelników mi wytłumaczy (używając wyłącznie racjonalnych argumentów, bez wzywania na pomoc nadnaturalnych sił), jak to możliwe, że nieletni uczestnicy krucjaty dziecięcej z 1212 roku przetrwali jako dzieci do chwili, kiedy odnaleźli ich, m.in. Jakub de Molay (ur. 1243) i Filip IV Piękny (ur. 1268).



Pan Samochodzik i templariusze; reż. Antoni Nykowski; Polska 2023; Netflix

Umberto Eco uczył, że kiedy się konstruuje teorie spiskowe, podstawowe dane muszą się zgadzać, a netfliksowskim twórcom nie chciało się nawet zajrzeć do wikipedii (niecała minuta riserczu). Wiele złego o tym sbeku Nienackim można napisać – ale fakty szanował i w atrakcyjnej formie potrafił zainteresować odbiorców historią, znacznie lepiej niż niejaki Indiana Jones!

Mission Impossible: Dead Reckoning Part I skusiła mnie pojawieniem się w obsadzie Marcina Dorocińskiego (znakomicie mówił po angielsku z rosyjskim akcentem). Głównym tematem filmu była sztuczna inteligencja (nazywana tu Bytem), która – uzyskawszy samoświadomość – wyrwała się kontrolującemu ją oprogramowaniu i rozpoczęła kampanię przeciw ludzkości. Film ewidentnie powstawał przed inwazją Rosji na Ukrainę, choć epatował wizją zbliżającej się wojny, w której zgorzeć ma cała cywilizacja. Czy do tego dojdzie i czy uda się zatrzymać apokalipsę rodem z *Terminatora* lub *Matriksa* – tego jeszcze nie wiemy; ale skoro za sprawę wzięli się specjaliści od misji niemożliwych do wypełnienia, należy sądzić, że Byt zostanie zesłany do takich czeluści internetu, z których nigdy się nie wydostanie. Pytanie tylko, za jaką cenę... Film to popisowy przykład kina akcji: blisko trzy godziny niekończących się pościgów (w tym w pędzącym ku przepaści pociągu – patrz m.in. piąta część przygód Indy'ego), bijatyk, strzelanek. Znakomita rozrywka z polskimi akcentami (pilnujcie swoich paszportów – są naprawdę w cenie!).

Barbie, nieoczekiwany tegoroczny niszczyciel box office'ów, przyciągnął moją uwagę znakomitą trailerem brawurowo parodiującym *Odyseję kosmiczną 2001* Stanleya Kubricka (trzeba go koniecznie obejrzeć z lektorką Krystyną Czubówną, włączony do filmu z napisami nie robi już takiego wrażenia). Mimo ewidentnie dziewczynskiego charakteru, mężczyźni



Barbie; reż. Greta Gerwig; USA 2023

na pewno się na tym filmie nudzić nie będą, a Margot Robbie jest po prostu śliczna. Dodatkowo obraz ten stara się poruszać problemy współczesnych kobiet, ale poniekąd także ich partnerów. Produkt firmy Mattel miał się stać inspiracją dla dziewczynek i popychać je do tego, by przekraczały wszystkie stawiane im granice. W jednej z początkowych sekwencji obserwujemy zatem Barbie-prezydentkę, Barbie-dziennikarkę, Barbie-kosmonautkę czy wreszcie Barbie-pracownicę fizyczną. Ale główna bohaterka nagle doznaje kryzysu tożsamości i natchodzą ją myśli, które nie powinny pojawiać się u mieszkanki arkadyjskiej utopii. Kwintesencją jej problemów jest to, że jej wyprofilowane do stąpania w szpilkach stopy stają się płaskie. Okazuje się bowiem, że Barbieland nie jest idyllą – a na to, co się dzieje z jej mieszkańcami, niebagatelny wpływ mają bawiące się nimi osoby z rzeczywistego świata. Barbie wyrusza więc do krainy ludzi, by odkryć, co się dzieje z jej manipulatką. W efekcie dowiaduje się, że jej perfekcyjna kołbieć (tak lubiana przez kierowców tirów, wieszających sobie laleczki Barbie w różnym stopniu negliżu na przednich szybach swoich

krążowników szos) wpędza w kompleksy zwyczajne dziewczynki, które nie są w stanie, dorastając, zachować ich boskich proporcji. Dodatkowo, towarzyszący jej w wyprawie Ken odkrywa patriariat, zegarki oraz konie, a Barbieland zamienia w zupełnie zmaskulinizowaną krainę. Przywrócone temu światu *status quo* nie jest już jednak atrakcyjne dla zwyczajnej Barbie, a własny kryzys tożsamości musi ona rozwiązać w realnym świecie. Jak na landrynkową komedijkę przemycano w niej całe mnóstwo poważnych tematów – może to powód sukcesu tego obrazu.

Oppeheimer to drugi hit tych wakacji, jakże diametralnie odmienny od *Barbie*. Opowiada historię prawdziwą, nie tak znowu odległą, ale nadal wywołującą dreszczyk emocji i będącą inspiracją dla licznych opowieści sensacyjno-szpiegowskich. Chodzi oczywiście o Projekt Manhattan, tajny ośrodek Los Alamos, jego infiltrację przez sowieckich agentów i rolę w skonstruowaniu bomby atomowej Roberta Oppenheimera. Osią fabularną filmu jest przesłuchanie Oppenheimera (wielka, być może oscarowa, rola Cilliany Murphy'ego) przed komisją kierującą amerykańską agencją energii

atomowej w sprawie odnowienia jego certyfikatu bezpieczeństwa (będącego przepustką do pracy w tej instytucji). Sprawa została z grubsza ukartowana, a chodzi w niej o to, by w białych rękawiczkach Oppenheimera z roboty wyrzucić, bo załazł za skórę pewnemu politykowi. Dzięki rozbudowanym reminiscencjom oraz dygresjom poznajemy biografię głównego bohatera i jego niebezpieczne polityczne kontakty, które ściągnęły na niego poważne oskarżenia w okresie zimnej wojny rozpoczętej czasami mccarthyizmu. Film ogląda się znakomicie (Christopher Nolan umie grać napięciem jak mało który reżyser) i nawet nie wiadomo, kiedy mijają trzy godziny seansu. Co prawda twórcy nie potrafią ukryć swej sympatii nie tylko do bohatera, ale przede wszystkim jego słabości do komunizmu; ale kto krytycznie nastawiony wobec czerwonego, ten nie da się zwieść ich manipulacjom. Znamienna jest opinia prezydenta Trumana (nie rozpoznałem Gary'ego Oldmanna – ale po tym, jak zagrał Churchilla, nic mnie już nie zdziwi) na temat Oppiego: bekksa. Co prawda próbuje się postawę fizyka tłumaczyć jego odpowiedzialnością za losy świata – ale to czczy idealizm, który mógł kosztować USA znacznie więcej niż projekt bomby termojądrowej Edwarda Tellera oraz Stanisława Ulama (o tym drugim w filmie ani słowa).

Ostatnią letnią propozycją, o której zamierzam napomknąć, jest przedstawienie na Scenie Letniej Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni **Na Waleta**. Scenariusz, oparty na *Hydrozagadce* Andrzeja Kondratiuka, napisał znany gdyński satyryk Szymon Jachimek (brat innego satyryka Tomasza, bywalca tefauneów oraz byłego piłkarza Bałtyku), znany m.in. z kabaretu Limo i nafaszerował go licznymi pomorskimi smaczkami. Dowiadujemy się zatem, że zawsze musi istnieć jakieś dobro i zło, jakaś Arka i Lechia (ja bym oczywiście kolejność tych klubów zamienił),



Na Waleta; reż. Rafał Szumski; Teatr Miejski im. W. Gombrowicza w Gdyni; prapremiera 24.06.2023

albo że próbujący działać na Pomorzu Batman po roku stwierdził, że przy Wejherowie Gotham City to była sielanka. Sama fabuła dotyczący genialnego i przypadkowego wynalazku bakterii diesloidalnych zamieniających wodę w ropę, którą sprytny hochsztapler-polityk Boja (niezatapialny, bo pusty w środku), przy pomocy szejka Al-Masakracha, zamierza użyć w Zatoce Gdańskiej (dla niezających topografii oraz lokalnych toposów: Trójmiasto nie leży nad morzem tylko nad zatoką, bo morze to jest w... Jastrzębiej Górze) i zamienić ten i tak brudny i zimny akwen w rezerwuár ropy naftowej. Przeciw tej niegodziwości występuje niejaki Walet (kierowca gdyńskiego trolejbusu), któremu swoje nadnaturalne moce przekazał odchodzący na emeryturę, tzn. do baru, jedyny polski bohater popkultury As. Farsowna ta komedia – z licznymi odwołaniami do lokalnej i krajowej rzeczywistości oraz nawiązaniami do genialnego filmu Kondratiuka – śmieszy, tumani, przestrasza. Być może warto ją przenieść na zwykłą scenę albo spróbować zrealizować na małym ekranie? Potencjał komiczny ma ona bowiem nieprzeciętny! ■

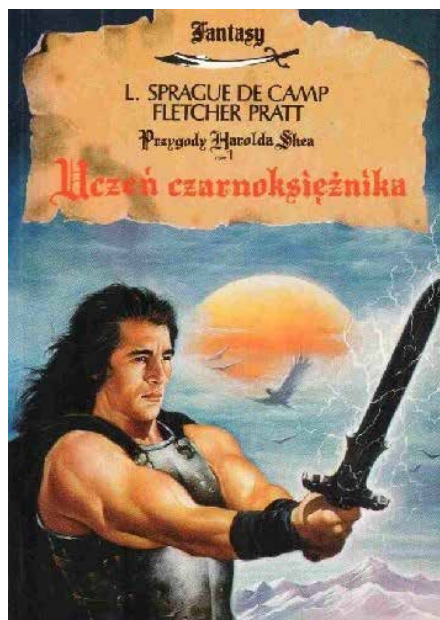
Wasz wielkokacki korespondent

KAROL GINTER

ALTERNATYWA NA CZAS WAKACJI

L. Sprague de Camp, Fletcher Pratt
Uczeń czarnoksiężnika

Wtrakcie spotkania trzech psychologów i pielęgniarzy wywiązuje się dyskusja



na temat istnienia światów alternatywnych i możliwości podróżowania do nich. Jeden z uczestników spotkania, Harold Shea, postanawia sprawdzić teorię. Prawie mu się udaje opanować tajniki podróży do innych światów. Prawie – bo choć przenosi się do świata alternatywnego, to jest to całkiem inny świat niż planował. Chciał znaleźć się w świecie mitów irlandzkich, a wylądował w świecie mitów skandynawskich. I to w samym śródoku Ragnarök. Niekoniecznie tego oczekiwał. Musi walczyć o przetrwanie, zamiast cieszyć się z odkrywania nowego świata.

Tak zaczyna się pierwsze z dwóch opowiadań zawartych w tomie. Akurat mniej mi się spodobało, bo było zbyt mroczne i naturalistyczne. Za to drugie opowiadanie, którego fabuła osadzona została w realiach eposów rycerskich, trafiło doskonale w mój gust. Dużo akcji, sporo humoru – i w efekcie miło spędziłem czas przy lekturze. Doskonały relaks. Eskapizm w najczystszej postaci ■

karolginter.pl

[tytuł od redakcji INFO]



rys. Jan Plata-Przechlewski

MICHAŁ BLEJA

NOTATKI Z PODRÓŻY

Zazwyczaj podchodzę nieufnie do *space oper*. Z jednej strony uwielbiam rozmach i wielowątkowość, które stanowią esencję tego gatunku, z drugiej – zbyt często (jak na mój gust) tworzący go autorzy idą na skróty. Gdy książka zaczyna się od zdania „Statek poruszał się z prędkością przekraczającą czterokrotnie prędkość światła” lub podobnego – to mam wrażenie, że autor albo zakłada niski poziom czytelnika, albo sam niski poziom reprezentuje. W obu przypadkach odkładałem książkę i sięgam po inną. Rozumiem, że czasami warto zawiesić niewiarę; ale bez przesady.

Jednocześnie te *space opery*, które mają solidne, przemyślane fundamenty – pozwalają co bardziej kreatywnym pisarzom rozbujać wyobraźnię w sposób absolutnie zjawiskowy. Czytelnik w takiej sytuacji odbywa unikalną podróż, której prawdopodobnie nie zapomni do końca życia. Poza tym gatunek ten jest obok fantasy tym, który najlepiej sprawdza się w długich, rozbudowanych cyklach. Wspomniana podróż może więc czasami trwać miesiące, a nawet lata.

The Expanse było pierwszym w moim życiu długim cyklem, który połąkłem niemalże z marszu. Cykl liczy dziewięć tomów, a przerwę musiałem sobie zrobić dopiero po siódmym. Na rynku jest obecnie tyle literatury, po którą chciałbym sięgnąć, że zazwyczaj po napoczęciu jednego cyklu od razu rzucam się na kolejny. Cóż więc takiego ma w sobie *The Expanse*, że z nim było inaczej?

Po pierwsze – świat wymyślony przez autorów jest spójny, a jednocześnie piekielnie złożony. Autorzy (bo James S.A. Corey to pseudonim, pod którym pisze dwóch gości) w bardzo przekonujący sposób kreślą rozwój technologiczny i społeczny ludzkości, nierzadko dokonując brawurowych, ale niezwykle interesujących, prognoz. Np.: w świecie *The Expanse* Ziemię (przynajmniej na początku cyklu) zamieszkuje kilkadziesiąt miliardów ludzi. W pierwszym odruchu ten pomysł wydaje się

wyssany z palca: w 2023 roku wiemy już, że tam, gdzie poprawia się sytuacja materialna, tam spada dzietność – więc, skoro pomiędzy naszymi czasami a początkiem powieściowego cyklu Ziemia nie doświadczyła żadnej większej klęski i rozwijała się względnie harmonijnie, tych miliardów powinno być maksymalnie kilka, na pewno niewiele więcej niż obecnie. Skąd zatem ludzi na Ziemi wzięło się tak dużo? Otóż: wraz z rozwojem technologicznym spadło zapotrzebowanie na ludzką pracę (zgadza się to ze współczesnym trendem), wzrosła ilość wolnego czasu (znowu się zgadza), więc ludzie zaczęli wypełniać go sobie robiąc i wychowując dzieci. Tego ostatniego trendu co prawda współcześnie nie obserwujemy, ale moim zdaniem to sensowna prognoza.

Po drugie – świat *The Expanse* rozwija się z powieści na powieść. Stosunki społeczne i polityczne zmieniają się dynamicznie i na ogromną skalę, stając się nie tyle tłem dla perypetii głównych bohaterów, co piekielnie interesującą historią samą w sobie. Znamienne, że przez wszystkie dziewięć tomów składających się na cykl najważniejsze postacie zmieniają się daleko mniej niż przemierzany przez nie wszechświat. To również trend, który możemy obserwować współcześnie – ja sam na przestrzeni ostatnich 20 lat zmieniłem się mniej niż świat wokół mnie, a tempo tych zmian nadal przyspiesza. W kreowanej przez



autorów *The Expanse* przyszłości owo tempo przyspiesza jeszcze bardziej. W ciągu jednego ludzkiego życia cały społeczno-polityczny ład zasiedlanego przez ludzkość terytorium wielokrotnie wywraca się na drugą stronę. Świat pierwszej części diametralnie różni się od tego, który widzimy w ostatniej. Przez cały cykl mamy przyjemność obserwować prowadzące do tego procesy. Dla mnie była to prawdziwa uczta.

Po trzecie – lektura cyklu stanowi stopniowe odsłanianie tajemnicy. Od lat wiadomo, że to pewny i prosty przepis na uczynienie opowieści wciągającą; a jednak mało kto potrafi zrobić to dobrze. Protomolekuła, czyli główny game changer *The Expanse*, może być opisana wszystkimi przymiotnikami stosowanymi w blurbach do bestsellerów – jest złowroga, obca, fascynująca, tajemnicza i niebezpieczna. W kolejnych tomach ludzkość dowiadyuje się o niej coraz więcej, wreszcie oswaja ją, zaczyna wykorzystywać do

własnych celów, aż w końcu [usunięto ze względu na spoiler ;-)].

Podsumowując: w *The Expanse* znajdziemy wszystko, czego spodziewalibyśmy się po dobrej s-f. Są obce technologie, szemrane interesy wszechmocnych rządów i korporacji, efektowne kosmiczne bitwy, nietuzinkowe postacie, które da się lubić, niejednoznacznie czarne, szare i białe charaktery, kilka pomysłów, których wcześniej nie było oraz odrobina telenoweli w wykonaniu kapitana Holdena i załogi Rosynanta. Wszystko podane w odpowiednich proporcjach, smaczne i świeże, choć jednocześnie trzymające się ukształtowanej przez dziesiątki twórców spaceoperowej konwencji. *The Expanse* wciąga, zmusza do myślenia i – jak na dobry serial przystało – po każdym odcinku pozostawia niedosyt.

Czy jest to dzieło przełomowe? Niekoniecznie; ale czy musi nim być? Jeśli masz ochotę zanurzyć się na dłużej w dobrej s-f, to *The Expanse* na pewno Cię nie rozczaruje ■

ARTUR ŁUKASIEWICZ

LEKSYKON SERIALI FANTASTYCZNYCH.

ROZDZIAŁ 0 (FRAGMENT SZÓSTY)

TELEWIZJA – MISJA CZY BIZNES?

Tu koniecznie należy wspomnieć o nieco odmiennych zasadach działania telewizji na rynku amerykańskim...

W Europie mieliśmy do czynienia zwykle z jednym, „państwowym” nadawcą, który – mając w pełni kontrolę nad emisją programów – mógł niejako „kształtować gust swojego widza”. Choć abonament telewizyjny pojawia się dopiero po drugiej wojnie światowej i na Wyspach Brytyjskich pierwotnie wynosi dwa funty miesięcznie – to telewizja brytyjska i model przez nią lansowany (a często później powielany w Europie) miała przede wszystkim „kształtować widza” oraz, poprzez rozrywkę, także pokazywać widzowi sztukę wysokich lotów. Dlatego też często można było w telewizji zobaczyć koncerty symfoniczne, balet, operę albo spektakl teatralny. Nie brakowało też tej najnowszej rozrywki, ale zawsze stała ona na dość wysokim poziomie. Podczas emisji programów nie przerywano programu reklamami, gdyż i tak niejako „głównym sponsorem”, przynajmniej w pierwszych latach istnienia, było Brytyjskie Imperium.

System amerykański natomiast działał na podobnych zasadach jak stacje radiowe. Odbiór programu był „bezpłatny” – ale, aby uczynić biznes telewizyjny opłacalnym, należało znaleźć odpowiednich reklamodawców, po to, by oni niejako „płacili za program”. Dlatego niemal każdy amerykański program telewizyjny miał swojego sponsora. Często też w nazwie programu pojawiała się znana marka: np.

samochodu „Chevrolet Tele Theatre”, pasty do zębów „Colgate Theatre”, czy producenta żywności „Kraft Television Theatre”. Często na początku programu, w jego trakcie i na samym końcu pojawiał się swoisty „blok reklamowy”. Po prostu aktor czy osoba prowadząca program niejako „na chwilę” wychodziła z roli – by móc przedstawić zalety nowych płatków śniadaniowych, wypróbować lśniąca biel pasty do zębów czy z wdziękiem trzasnąć drzwiami najnowszego modelu auta. Po czym, jak gdyby nic ważnego się nie stało, zgrabnie wrócić do wyznaczonej w scenariuszu roli.

Po zakończeniu wojny, niejako samoistnie i bez większych problemów, rodziły się kolejne lokalne stacje telewizyjne. Właściwie w każdym większym mieście czy stolicy stanu. Trzech podstawowych graczy – czyli CBS, NBS i DuMont – próbowało afiliować daną stację pod swoje skrzydła; tak, by stały się one siecią, połączoną wspólnym programem. Wkrótce do tego grona dołączyła jeszcze ABC, która na poważnie rozpoczęła ekspansję dopiero po wojnie. Oczywiście nie było to ani proste, ani łatwe. Stacjom ABC, CBS czy NBC było niejako łatwiej, gdyż już dysponowały częściową bazą w postaci rozgłośni radiowych oraz rozbudowaną ofertą programową, która często była po prostu telewizyjną wersją dotychczasowych programów radiowych. Najgorzej w tej roli wypadła DuMont, gdyż ta musiała zaczynać od „zera” i budować sieć bez pełnego finansowego zaplecza.

Przyrost licencjonowanych stacji telewizyjnych był lawinowy. W roku 1949 licencjonowanych stacji było już 57, a 73 kolejne otrzymały pozwolenie na budowę.

Początkowo każda ze stacji – zanim w ten czy w inny sposób połączyła się z którąś ze stacji głównych – kupowała program niejako na zasadzie „trochę tego, trochę tego”. Tak więc przeglądając skany starych, wysyłanych do domu przez daną stację w formie zmyślnej pocztówki, tygodniowych programów telewizyjnych – możemy dostrzec programy charakterystyczne dla na NBC, ale zaraz obok program DuMounta czy CBS. Ba, często program, który np. w Nowym Jorku miał za sponsora firmę np. Chrysler – lokalnie miał sponsora innego, bo na przykład akurat w innym mieście Chrysler nie miał tak rozwiniętej sieci handlowej, ale za to bardzo zainteresowany programem był np. lokalny producent odukrzaczy. Tak więc mieliśmy np. „Hoover Theatre” zamiast „Chrysler Theatre”.

W miarę rozwoju stacji – zaczęły powstawać też (niejako niezależne od konkretnych stacji) konsorcja, które zaczęły oferować własny program na tak zwanych „przetargach”. Można było na przykład zapoznać się z dwoma-trzema odcinkami „pilotażowymi” programu – i na podstawie tego zakupić cały sezon. I tu też obowiązywała zasada, że nadawca miał prawo szukać własnego sponsora programu; tak więc zdarzało się, że niezależnie od siebie ten sam program mógł lecieć na kilku stacjach (i to położonych w miarę blisko siebie), ale mieć różny tytuł i innego sponsora. Tego typu instytucje nazywane były syndykatami.

Dodatkowo ciekawostką może być również i to, że w ramach syndykatów można było kupić np. serial już wyemitowany przez jakąś stację i zakończony – po czym „sprzedać innej stacji”, nie związanej żadną umową z pierwotnym emitentem programu.

Wspominam o tym, gdyż (jak się okaże później) niektóre z seriali, które będą nas interesować, zostały wyprodukowane przez

takowe konsorcja – dlatego właśnie tu postanowiłem wyjaśnić owo zagadnienie.

I października 1949 roku Federalna Komisja do spraw Łączności podjęła decyzję o niewydawaniu dalszych koncesji na telewizję, dopóki nie nastąpi standaryzacja przesyłu sygnału, jak też nie nastąpi uporządkowanie rynku. Jest to właściwie koniec pierwszej fazy „telewizyjnego boomu” w Stanach Zjednoczonych (Źródło: *The 1949 Year Book Of Television*, Edited by Jack Alicoate Copyright, 1949, by Radio Daily Corp. 1501 Broadway, New York 18, N.Y.). Ma to bardzo duże znaczenie, zwłaszcza dla sieci DuMont, gdyż właściwie ogranicza możliwość dalszego rozwoju stacji i zmusza niejako do walki o dostęp do stacji już istniejących. Ale o samym DuMont napiszę kiedy indziej i gdzie indziej...



W końcu lat czterdziestych stacje skupione na Zachodnim Wybrzeżu szybko zaczęły się łączyć i współpracować ze sobą oraz tworzyć wspólną sieć poprzez przysyłanie sygnału telewizyjnego drogą kablową. Mogły przy tym wykorzystać już istniejące kable radiowe, którymi zawiadywała firma AT&T.

Tu zresztą sprawa była znacznie łatwiejsza, gdyż często sygnały niejako przenikały

się wzajemnie i można było bez problemu oglądać program dwóch, czasem trzech stacji jednocześnie. Znacznie gorzej było w środkowych stanach, gdzie stacji telewizyjnych było stosunkowo niewiele. Całe połacie Północnych Stanów USA – od Oregonu, przez Wyoming, Montanę, po obydwie Dakoty – nie posiadały „żadnej stacji telewizyjnej” (dane z roku 1951!). Niezbyt gęste też było, w porównaniu do obydwu Wybrzeży, zaludnienie. Pojawił się nawet pomysł, by specjalna eskadra lotnicza, wyposażona w nadajniki telewizyjne, latała nad wyznaczonym obszarem i w ten sposób umożliwiała oglądanie telewizyjnego programu. Jak szybko jak tego dokonano, tak szybko zarzucono – z uwagi na potężne koszty takiej zabawy.

TELERECORDING

We wrześniu 1947 roku po raz pierwszy udało się zarejestrować spektakl – dzięki użyciu specjalnej kamery, skierowanej na specjalnie do tego przeznaczony monitor telewizyjny i nagrywający rzeczony spektakl na taśmę filmową. Taśmę można było skopiować i stworzyć wiele kopii, a potem wysłać do innej stacji, by tam zaprezentowano program zainteresowanym widzom. Zapis takowy, z racji tego, że był rejestracją obrazu z monitora, nazywany był „zapisem kineskopowym” lub w skrócie „kineskopem”.

Był to wynalazek iście rewolucyjny. Pozwalał na wielokrotne powtarzanie nagrań w ten sposób audycji, przekazywanie jej z miejsca na miejsce poprzez przewiezienie jej ze stacji do stacji (wciąż w tym momencie nie był rozwiązany problem przenoszenia obrazu na duże odległości specjalnym okablowaniem). Mniej więcej w tym właśnie czasie zaczęto poszerzać linie przesyłowe i tworzyć sieciowe okablowanie; najpierw na terenie Wschodniego Wybrzeża, a nieco później,

wzdłuż południowych stanów Ameryki, do Los Angeles i San Francisco. To jednak dopiero pieśń przyszości.

BOJKOT

Powstanie zapisu wizualnego spowodowało wiele problemów natury, nazwijmy to, prawnej. Dopóki on nie istniał – aktorzy, muzycy, scenografowie otrzymywali zapłatę za jednodwukrotne wykonanie danego dzieła. Nie było problemu. Program już pokazany niejako zniknął w eterze. Możliwość wielokrotnego jego pokazania zmieniała jednak te uwarunkowania. Telewizja zapłaciła raz, a mogła pokazywać program wielokrotnie; zaś wykonawcy i podwykonawcy nie mieli z tego ani centa. Ba, dokonanie takowego zapisu umożliwiało jego pokazanie gdziekolwiek. Wystarczyło odpowiednio zaciemnione miejsce, biały ekran i krzesła. W dodatku koszt wytworzenia takiego dzieła był wielokrotnie niższy, a wydawał się konkurencyjny dla przemysłu filmowego, który – choć wtedy królował niepodzielnie – nagle poczuł się zagrożony. Szybko ogłoszono „bojkot telewizji”. Aktorzy i reżyserzy filmowi, aby móc dalej pracować, musieli podporządkować się temu bojkotowi – nie mogli zatem, pod groźbą utraty pracy w kinie, występować w programach telewizyjnych. Tak samo było na przykład z muzykami, którzy uznali, że częste pokazywanie koncertów zniszczy rynek koncertowy i spowoduje masowy odpływ widzów z teatrów.

O dziwo: szybko okazało się, że skorzystały na tym dwie grupy. Pierwszą stanowiła grupa aktorów czy muzyków młodego pokolenia bez znaczącego dorobku, dla których telewizja często stała się początkiem ich wielkiej kariery. James Dean, Jack Palance, Ernest Borgnine, Leslie Nielsen i wielu innych swe pierwsze aktorskie szlify zdobywało właśnie dzięki telewizji. Drugą grupę stanowili artyści wodewilowi i komiccy,

którzy zresztą nie uczestniczyli w bojkocie – z racji swojego nieco „nizowego” (w porównaniu do tradycyjnego teatru) zasięgu. Szybko w ten sposób uzyskiwali status telewizyjnych osobowości. Przykładem może być tu pierwszy telewizyjny i rozpoznawalny w całych Stanach



Jackie Gleason

gwiazdor Jackie Gleason, który zaczynał jako komik w małych klubach i przez chwilę nawet grał drugoplanowe role w podrzędnych filmach Warner Brothers. Z mało spektakularnym skutkiem.

Dopiero telewizja uczyniła go sławnym. I to na tyle, że rewelacyjnie zagrał rolę Grubasa w Minnesocie w *Bilardziście* (był za nią nominowany do Oscara i Złotego Globu). Dzięki czemu ma zapewnione honorowe miejsce w annałach historii kina.

Co więc pozostało samej telewizji? Oczywiście – dojść do porozumienia z Hollywood. Szybko okazało się, że mariaż pieniędzy oferowanych przez sponsorów programów należących do czołówki najlepiej zarabiających firm, wynajmowanie największych reżyserów do pracy w telewizji, posiłkowanie się studiami należącymi do wielkich wytwórni filmowych czy kupowanie scenariuszy po to, by je wykorzystać w telewizji po prostu się opłaca ■

[ciąg dalszy w numerze #393]



rys. Jan Plata-Przechlewski

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

NOWE OTWARCIE KWANTOWE

Za tym bohaterem jakoś szczególnie nie przepadam. Często zachowuje się jak bufon, bywa irytujący i ma tajemniczą zdolność wplątywania się w kłopoty. Nie jest superbohaterem. Zaczynał jako drobny złodziejasek, będąc na bakier z prawem, ma nieustabilizowane życie rodzinne, a do grona superbohaterów i Avengersów trafił dzięki swojemu niezwykłemu kostiumowi, za pomocą którego może zwiększać i zmniejszać swoje rozmiary oraz komunikować się z mrówkami. Strój nie jest jego dziełem. Stworzył go dr Hank Pym, a Scott Lang/Ant-Man jest tylko jego użytkownikiem. Co innego Osa/Hope Van Dyne, córka Hanka. Kobieta piękna, inteligentna, świetnie wykształcona, twardo stąpająca po ziemi. W każdej sytuacji można jej zaufać, a ona nigdy nie zawiedzie.

Ant-Mana poznaliśmy w dwóch wcześniejszych filmach opowiadających o jego barwnych perypetiach. Później nastąpił „awans”: Ant-Man został włączony do grona Avengersów. W *Avengers – Endgame* wykazał się i podpowiedział, jak można wykorzystać wymiar kwantowy (w którym był przez pewien czas uwięziony) do podróży w czasie – co pozwoliłoby zapobiec zniszczeniu przez Tanosa połowy galaktyki. Pomysł został wykorzystany i rzeczywiście przyniósł spodziewany efekt. W tej sytuacji oczywistym było, że kolejny film o Ant-Manie i Osie musi być czymś w rodzaju „nowego otwarcia”. Stare wątki zostały przecież definitywnie zakończone.

Początek *Kwantomanii* jest bardzo spokojny, żeby nie powiedzieć nudnawy. Minęło kilka lat od unicestwienia Tanosa. Główny bohater, Scott Lang (Paul Rudd), w charakterystyczny dla siebie sposób cieszy się życiem, starając się przy okazji czerpać jak najwięcej korzyści ze swojej popularności. Humor psuje mu córka Cassie (Kathryn Newton) – prawie dorosła już pannica, która najwyraźniej wdała się w tatusia. Jest krnąbrna, bardzo niezależna i ma łatwość wchodzenia w konflikty z prawem. Z drugiej strony jest bardzo inteligentna, cwana, a na dodatek potrafi sobie owinąć ojca wokół palca. Oboje zawsze mogą liczyć

na przyjaciół, z którymi tworzą taką poniekąd patchworkową rodzinę, na którą składają się nasi dobrzy znajomi: dr Hank Pym (Michael Douglas), Janet Van Dyne (Michelle Pfeiffer), Osa/Hope Van Dyne (Evangeline Lilly). Gdy się spotykają – wyglądają jak zwykła wielopokoleniowa rodzina. Podczas jednego z takich spotkań (celebracji urodzin Cassie) dochodzi do zdarzenia, które wywraca życie naszych bohaterów do góry nogami.

Podczas rozmowy Cassie z dumą oświadcza, że w tajemnicy przed wszystkimi opracowała i stworzyła urządzenie, które pozwala na kontakt z wymiarem kwantowym, umożliwiając komunikację w obie strony. To wywołuje przerażenie Janet; ale zanim ta zdołała wyjaśnić wszystkim, na czym polega zagrożenie – cała piątka zostaje zniemacka wciągnięta przez prototypowe urządzenie do wymiaru kwantowego, przy czym Scott Lang wraz z Cassie zostają oddzieleni od Hanka, Janet i Hope.

Okazuje się, że wymiar kwantowy to nie jest bynajmniej bezkresna pustka. To zdumiewająco liczny i malowniczy świat, zamieszkały przez niezwykle istoty o niezwykłym właściwościach. Po początkowym przerażeniu nasi bohaterowie postanawiają działać. Dwie rozdzielone grupy, niezależnie od siebie, przeżywają masę przygód, poznają tubylców i powoli orientują

sie, czym jest wymiar kwantowy oraz jakimi prawami się rządzi. Nadrzędnym celem obu grup jest odnalezienie się i wspólny powrót do domu. Dosyć szybko można się zorientować, że Janet, która kiedyś spędziła bardzo wiele czasu w wymiarze kwantowym, wie o tym miejscu o wiele więcej niż wcześniej opowiadała. Na jaw wychodzi bardzo wiele zaskakujących faktów z jej dawnego życia – co pozwala nam zrozumieć jej przerażenie, gdy dowiedziała się o istnieniu urządzenia pozwalającego swobodnie komunikować się z wymiarem kwantowym.

Od momentu przeniesienia bohaterów do nowego świata film nabiera rumieńców. Od strony wizualnej jest fenomenalny, a wyobrażenia i pomysłowość w kreowaniu realiów kwantowego świata zasługuje na podziw. Z początku – tak jak bohaterowie, którym kibicujemy – czujemy się całkowicie zagubieni. Potem zaczynamy powoli poznawać realia tego wyjątkowego świata – a rzeczy, które z początku były niezrozumiałe, nabierają sensu. Okazuje się, że także w wymiarze kwantowym część istot jest nastawiona przyjaźnie, a część wrogo w stosunku do obcych. Nie zawsze od samego początku udaje nam się trafnie ocenić, kto jest kim. Kilka razy jesteśmy mocno zaskakiwani, widząc całkowicie nowe postacie, które w wymiarze kwantowym (i nie tylko) odgrywają bardzo istotną rolę: np. Jentorra (Katy M. O'Brian), Lorda Krylara (Bill Murray), Kanga (Jonathan Majors), czy M.O.D.O.K. (Corey Stoll).

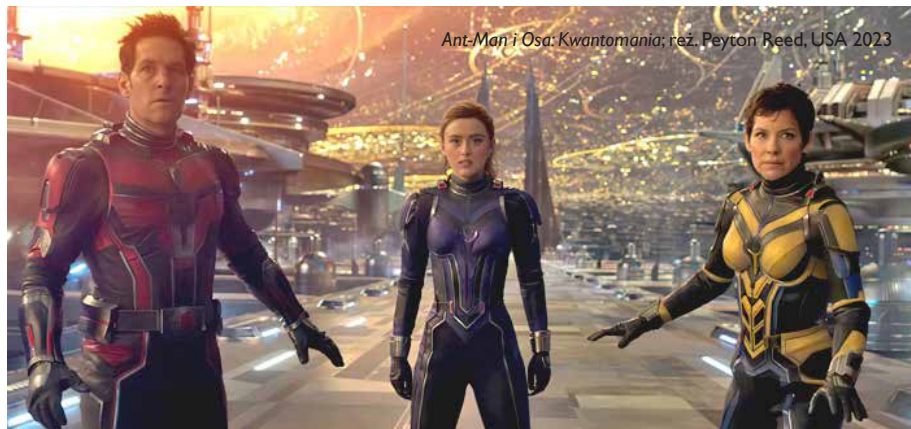
Zabawa jest przednia, akcja wartka, zwroty akcji częste, na dodatek okraszone specyficznym humorem, momentami ocierającym się o groteskę. Strona wizualna i efekty specjalne na najwyższym poziomie. Do końca nie jesteśmy pewni, w jaki sposób przygoda w wymiarze kwantowym się skończy – a zakończenie wcale nie jest oczywiste.

Wygląda mi na to, że *Ant-Man i Osa: Kwantomania* są zwiastunem nowego kierunku, w którym mogą pójść scenarzyści Marvela. W filmie stworzono całkowicie nowe, niezbadane uniwersum, o nieograniczonych możliwościach kreacji. Stykamy się po raz pierwszy z postaciami, które do tej pory nie były eksploatowane w filmach, a które mają całkiem długi staż komiksowy oraz spory potencjał. Sądzę, że ten kierunek będzie eksploatowany; a kto wie – może będzie zaczął nowy filmowy uniwersum Marvela, w którym pojawią się także inni superbohaterowie (dotychczasowi i nowi)? Tym bardziej warto ten film obejrzeć.

No i tradycyjnie: koniecznie należy poczytać, aż przez ekran przewiną się wszystkie napisy końcowe. Obejrzymy wtedy dwie krótkie sceny rzucające nowe światło na to, co może wydarzyć się w przyszłości ■

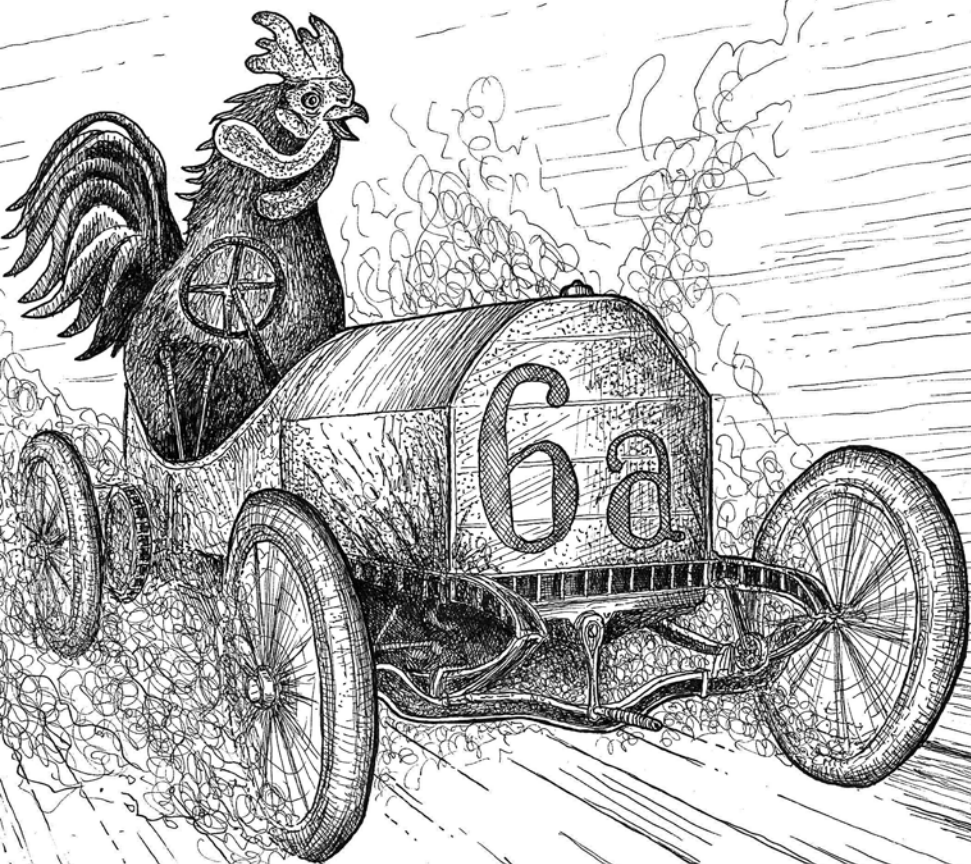
Ant-Man i Osa: Kwantomania (2023)
film z platformy Disney+

[tytuł recenzji od redakcji INFO]



Ant-Man i Osa: Kwantomania; reż. Peyton Reed, USA 2023

— RAJD — PARYŻ-GDAK! AR



rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

NOWE TO DOBRZE ZAPOMNIANE STARE

Statnio DVD jest w odwrocie, a sklepowe półki z tym towarem kurczą się lub znikają zupełnie. Na szczęście mam jeszcze sporo tego u siebie, więc może przez jakiś czas będę miał o czym pisać. Oznacza to jednak nieunikniony obsuw w datach produkcji filmów – i mogę mieć tylko nadzieję, że nie w ich jakości.

Oto cokolwiek kontrowersyjny przykład: prawdziwa starość z 1988 r. Film nazywa się *Więzy krwi* i jest jedną z ponad czterdziestu pozycji o tym tytule (za to oryginalny tytuł, *Blood Relations*, powtarza się „zaledwie” sześć razy). Ale nie to jest istotne, tylko prawdziwe *déjà vu*, którego doznałem przy jego oglądaniu.

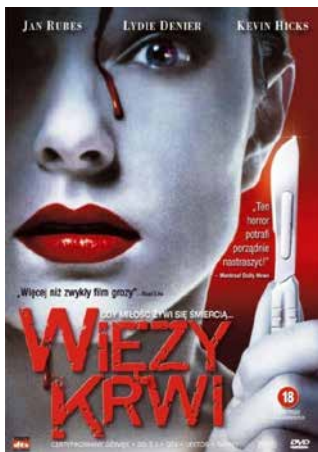
Oto początek filmu: Thomas Wells przyjeżdża do rodzinnego domu z Marie, narzeczoną poznaną w Europie. Jego ojciec, Andreas, jest neurochirurgiem...

I tu zapaliła mi się lampka. Podobnie zaczął się znacznie późniejszy film *Uciekaj!* (2017), o którym pisałem w tej rubryce w numerze 387. Co prawda tam dziewczyna przywiozła do rodzinnego domu chłopaka – ale co to za różnica. Bardziej istotne jest to, czy oba filmy zmierzają do podobnej puenty. Otóż tak, zmierzają. A dokładniej mówiąc: są to dwie różne fabuły, opierające się na tym samym podstawowym pomysle, którego – rzecz jasna – nie zdradzę. I tu należy wspomnieć, że film *Uciekaj!* dostał Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny; co, jak dla mnie, w pełni uzasadnia tytuł tego tekstu.

Więzy krwi, mimo niższej oceny (i utyskiwań na forum), uważam za całkiem dobry film, na pewno bardziej zakręcony od swego potomka z nieprawego łóża. Ojciec Thomasa jest osobowością zarówno psychopatyczną jak i utalentowaną, kimś w rodzaju Hannibala Lectera lat 80., tym bardziej, że [ocenzurowano].

Ojciec i syn prowadzą ni to poważnie, ni to żartem gierki związane ze spadkiem po schorowanym dziadku, wciągając w nie Marie, co skutecznie odwraca uwagę widza od zasadniczej intrygi. A główną bohaterkę widzowie oceniają tak samo wysoko (8,0), jak Chrisa z filmu *Uciekaj!* Jak dla mnie wystarczy.

Aha. I jeszcze ojciec Thomasa okazuje się Rosjaniem. Wizjonerski film ■



Więzy krwi (Blood Relations), Kanada, USA 1988

ocena FilmWeb: 4,7, IMDb: 4,9

reżyseria: Graeme Campbell,

scenariusz: Steven Saylor

gatunek: horror, czarna komedia,

czas: 1 godz. 28 min.

Obsada: Lydie Denier (Marie Desette, ocena 8,0)

Kevin Hicks (Thomas Wells, jej narzeczoną)

Jan Rubes (dr Andreas/Wasylij Wells, ojciec Thomasa, 6,0)

Ray Walston (Charles McLeod, teść Andreasa)

Steven Saylor (Jack Kaplan, prawnik Charlesa, 5,0)

Lynne Adams (Sharon Hamilton, jego dziewczyna)

Sam Malkin (Jurij, zaufany służący)

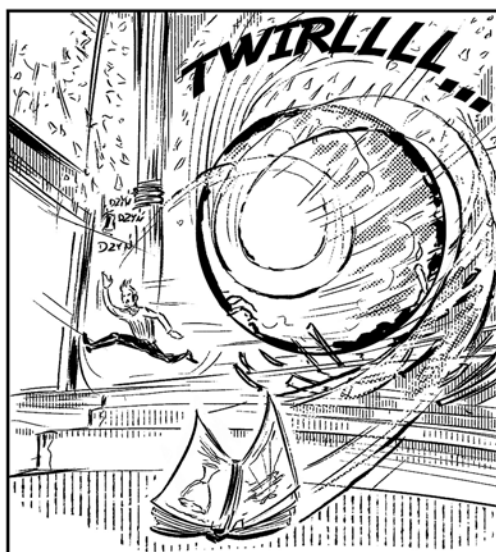
NOTES BŁODACZA

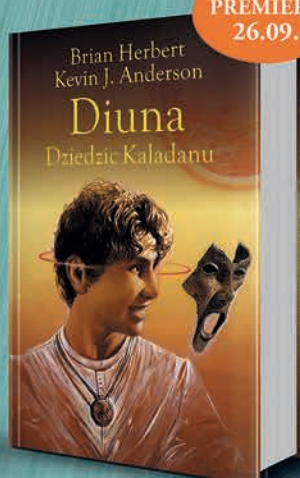
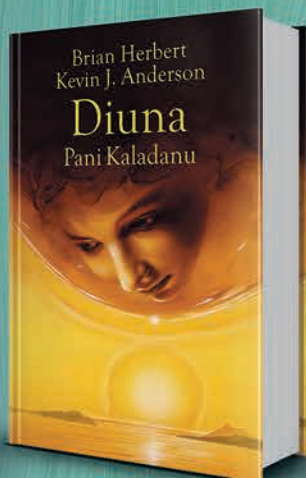
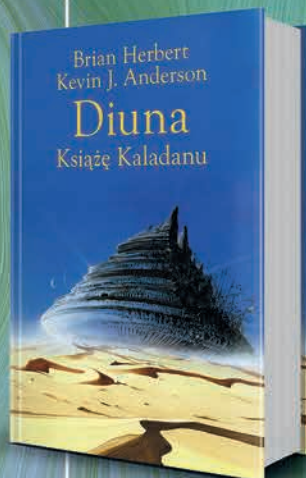
**TAJEMNICE
PLANU**

KRZYSZTOFOWI SZKURŁATOWSKIEMU

RYS.: ADAM MATEJA
SCEN.: GRZEGORZ SZCZEPANIAK

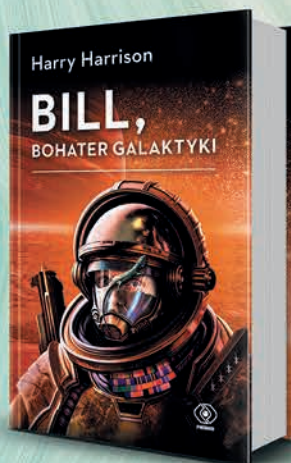
PAN TOMASZ, KAPITAN PETERSEN I TEN WYMOCZEK PIOTROWSKI MIMO
CAŁONOCNEGO CZUWANIA NIE PRZYDYBALI TAJEMNICZEGO BAHOMETA.
RANKIEM TA KREATURA PIOTROWSKI
PIERWSZY POBIEGŁ DO CMENTARNEJ KAPLICY...





PREMIERA
26.09.

DIUNA: TRYLOGIA KALADANU



*Najzabawniejsza
powieść science fiction,
jaką kiedykolwiek napisano.*
Terry Pratchett



Kolejny tom „Pół dawno
zapomnianych bitew”,
bestsellerowej space opery
wydawanej równolegle w USA!



Klasyczna powieść SF,
część epokowej sagi,
inspiracja dla doskonałego
serialu